Nr. 5. Lwów, dnia 1. Maja 1890. Rok XIII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

W sprawie ustawy łowieckiej.

(Dokończenie.)

II. Przepisy policyjne tyczące się polowania.

§. 44.

Zakazuje się każdemu przechodzić z bronią przez jakikolwiekbądź okręg polowania bez zezwolenia uprawnionego do polowania, wyjąwszy jeżeliby był do tego na mocy swego stanowiska urzędowego uprawnionym lub zobowiązanym.

Jeżeli kto wbrew temu zakazowi przez uprawnionego do polowania lub przez zaprzysiężonego dozorcę polowania z bronią po za publicznymi gościńcami i drogami, albo po za takiemi drogami, których używa się powszechnie jako połączenia między miejscowościami i zagrodami, przydybany zostanie, to może być przez wymienionych do natychmiastowego wydania broni wezwany, a on jest obowiązany takową bez wahania wydać.

Odebrana broń ma być bezzwłocznie do politycznej władzy powiatowej odstawiona, która takową, przy ukaraniu przekraczającego w myśl §. 86., uznać ma za przepadłą.

§. 45.

Na uprawionych polach nie wolno ani polować, ani gonić, ani też zwierzyny psami tropić. Wyjęte z pod tego zakazu są pola pokryte śniegiem lub całkiem zamarznięte, jakoteż pola zasiane koniczyną lub moharem *(Mohar)*, dalej pola uprawione kartoflami albo rzędowym siewem kukurudzy, buraków, kapustą albo innymi, w dalekich odstępach rzędowo zasianymi ziemiopłodami.

Do wykonywania polowania wyścigowego (parforce), potrzebnem jest poprzednie zezwolenie właściciela gruntu, a to bez względu na rodzaj uprawy dotyczących gruntów.

§. 46.

W najbliższem otoczeniu osad, domów i stodół wolno wprawdzie zwierzynę tropić i ścigać, jednak nie wolno takowej bronią palną zabijać.

§. 47.

Postrzelona lub w inny sposób zraniona zwierzyna, która przejdzie na obcy okręg polowania, nie może być tamże ściganą; owszem ewentualne jej dalsze ściganie, ubicie i zabranie przysługuje uprownionemu owego okręgu polowania, na którym zwierzyna się znajduje.

§. 48.

Dziki wolno trzymać tylko w zwierzyńcach, które przeciw wyłamaniu się tych zwierząt należycie są zabezpieczone.

§. 49.

Niedźwiedzie, wilki, rysie i żbiki, jakoteż dziki po za zwierzyńcem, wolno każdemu gdziekolwiekbądź chwytać, zabijać i dla siebie zabrać.

Następujące zwierzęta, jakoto: tchórze, łasice, chomiki, wydry, wszelkie gatunki orłów, wędrowny sokół, rarog, kobuz, drzemlik *(Zwergfalke)*, kania wielka, kania czarna *(der schwarze Milan)*, jastrząb, krogulec, błotniak (rybołówka trzcinnik), puhacz, sojka, orzechówka stryszek, sroka, srokosz, kruk, gawron, wrona, mogą być wewnątrz okręgu polowania przez uprawnionego do polowania, dalej na własnym gruncie przez właściciela gruntu, a za jego przyzwoleniem także i przez trzecie osoby, nakoniec na terytoryum dobra publicznego przez każdego chwytane albo zabijane i zabierane.

Uprawnionemu do rybołostwa przysługuje to prawo względem zwierząt rybołostwu szkodliwych w bezpośrednim pobliżu jego rybnika, także na cudzych gruntach, bez zezwolenia posiadacza gruntu.

Jeżeli ściganie wymienionych w tym paragrafie zwierząt odbywać się ma przy użyciu broni palnej albo w inny łowiecki sposób, to potrzebne jest na to w regule poprzednie zezwolenie uprawnionego do polowania. Zezwolenia tego nie potrzeba w razie koniecznej obrony dla bezpieczeństwa osoby lub mienia, dalej w razie, jeżeli przez polityczną władzę samą obławy na pojedyńcze, szczególnie szkodliwe lub niebezpieczne gatunki zwierząt, zarządzone zostały, albo, jeżeli przez powyższą władzę poszczególnym osobom, w razie udowodnionej skuteczności użycia tego środka, ściganie wymienionych w tym paragrafie zwierząt z bronią palną albo w inny myśliwski sposób na pewien przeciąg czasu dozwolonem zostanie.

Osoby do chwytania tych zwierząt uprawnione, mogą używać do tego także łapek żelaznych i sideł, nie może to jednak dziać się w miejscach, w których mogłoby wskutek tego wyniknąć niebezpieczeństwo dla ludzi lub zwierząt pożytecznych, nadto muszą być w każdym razie umieszczone takie znaki, któreby przez każdego łatwo spostrzeżone i rozeznane być mogły. Miejsca, gdzie żelaza i sidła przez nieuprawnionych do polowania zastawione być mają, winny być przedtem uprawnionemu do polowania okazane. Zastawianie samostrzałów jest bezwarunkowe wzbronione.

§. 50.

Psy polujące same w okręgu polowania, jakoteż koty wałęsające się po polach i lasach, mogą być przez uprawnionego do polowania zabijane.

§. 51.

Zakazanem jest rozrzucanie albo wybieranie gniazd, niszczenie lub zbieranie jaj zwierzyny lotnej, jakoteż łapanie łownych zwierząt w żelaza, sidła lub inne przyrządy do łapania Wyjątkowo może być wybieranie jaj lub młodych w celu rozpłodzenia lub przesiedlenia uprawnionemu do polowania przez polityczną władzę zezwolone.

§. 52.

Polityczna władza krajowa winna na podstawie opinii znawców i w porozumieniu z Wydziałem krajowym ustanowić w drodze rozporządzenia czasy ochrony dla tych zwierząt służących do polowania, dla których oznaczenie takich czasów, celem utrzymania stanu zwierzyny, któryby zabezpieczał odpowiedne wykonywanie polowania, jest konieczne.

Jeżeliby porozumienie między polityczną władzą krajową a Wydziałem krajowym osiągnąć się nie dało, to rozstrzyga Ministerstwo rolnictwa. Podczas czasu ochronnego, nie wolno zwierzyny ochroną objętej ani ścigać, ani łapać albo zabijać.

§. 53.

Do oznaczonych w §. 5. lit. *a)* samodzielnych okręgów polowania, nie mają §§. 51. i 52. żadnego zastosowania.

§. 54.

Jeżeliby w pewnym okręgu polowania zmniejszenie pewnego gatunku zwierzyny w interesie narażonego na szkodę przez takowy gospodarstwa rolnego lub leśnego na podstawie przeprowadzonych poprzednio przez polityczną władzę powiatową dochodzeń, koniecznem się okazało, to winna polityczna władza powiatowa, po przesłuchaniu rzeczoznawców, zarządzić w tym okręgu polowania nawet podczas czasu ochronnego wytępienie pewnej oznaczyć się mającej ilości tej zwierzyny. Z tych samych powodów może także polityczna władza powiatowa zawiesić czas ochronny dla tego gatunku zwierzyny w dotyczącym okręgu polowania w zupełności lub częściowo, jednak nie dłużej jak na przeciąg dwóch lat.

§. 55.

Polityczna władza powiatowa może po przesłuchaniu rzeczoznawców pozwolić, aby polowano na pewne oznaczone gatunki zwierzyny na pojedyńczych lub na wszystkich okręgach polowania powiatu, przed upływem czasu ochronnego lub też po rozpoczęciu tego czasu, a to, jeżeli pozwolenie to ze względu na miejscowe lub klimatyczne stosunki jest usprawiedliwione. Wyjątki te nie mogą być jednak na dłużej, jak na przeciąg dwóch lat dozwolone.

§. 56.

Polityczna władza powiatowa może polowanie na niektóre gatunki zwierzyny w pojedyńczych lub we wszystkich okręgach polowania powiatu, po przesłuchaniu rzeczoznawców, na przeciąg 1 lub 2 lat zupełnie zastanowić, jeżeli szczególne okoliczności takiego zarządzenia wymagają. Z powodu takiego zastanowienia nie nabywa dzierzawca polowania prawa do żądania opustu całego albo części czynszu dzierzawnego.

§. 57.

Po upływie ośmiu dni po ustaniu czasu ochronnego i podczas dalszego trwania tego czasu, nie wolno zwierzyny ochroną objętej ani w stanie żywym ani zabitej, ani w całości ani w kawałkach, ani po sklepach ani na targach, w domach gościnnych ani też w żaden inny sposób na sprzedaż wystawiać. Zakaz ten odnosi się również do tej zwierzyny, która pochodzi z oznaczonych w §. 5. lit. *a)* samodzielnych okręgów polowania, ze składów albo też z po za granic kraju. W razie przekroczenia tego zakazu następuje także konfiskata dotyczącej zwierzyny i takowa ma być przez zwierzchność gminną (przełożonego obszaru dworskiego) w drodze publicznego przetargu na rzecz funduszu ubogich tej miejscowości sprzedaną, gdzie konfiskata nastąpiła.

§. 58.

Jeżeli zwierzyna, w wykonaniu postanowień §. 54. i 55., po za ogólnym czasem polowania (§. 32.) ubitą albo przy zarządzonej w myśl §. 57. sprzedaży nabytą została, to winna w pierwszym wypadku polityczna władza powiatowa, w drugim zaś zwierzchność gminna (przełożony obszaru dworskiego) na owe wyjątki z pod zakazu §. 57., jakie celem spieniężenia zwierzyny są konieczne, przy użyciu odpowiednich środków ostrożności przeciw wszelkim możliwym nadużyciom zezwolić i wystawić na to potrzebne poświadczenie.

§. 59.

Sprzedaż jaj zwierzyny lotnej jest w regule każdego czasu wzbroniona, może być jednak przez polityczną władzę powiatową uprawnionemu do polowania do nasadzenia tychże być dozwolona. Względem sprzedaży jaj mają postanowienia §§. 57. i 58. analogiczne zastosowanie.

III. *Szkody wyrządzone przez polowanie i przez zwierzynę.*

§. 60.

Każdy do wykonywania polowania uprawniony, obowiązany jest:

a) przy wykonywaniu polowania przez niego samego, przez jego personal łowiecki i przez jego gości myśliwych, lub też psy do polowania używane, do osób tych należące, wyrządzoną szkodę —

b) w obrębie jego okręgu polowania przez zwierzęta łowne, na gruncie jakoteż na niezebranych z niego płodach wyrządzoną szkodę — według postanowień niniejszej ustawy wynagrodzić.

Jeżeli prawo do wykonywania polowania więcej osobom przysługuje, to odpowiadają one za szkody wyrządzone przez polowanie i przez zwierzynę do niepodzielnej ręki.

§. 61.

Szkody wyrządzone przez zwierzynę przechodnią lub z miejsca na miejsce się przenoszącą, mają być wynagrodzone przez uprawnionego owego okręgu polowania, w obrębie którego szkoda wyrządzoną została.

§. 62.

Uszkodzenia wyrządzone na gruncie lub niezebranych z niego plonach przez zwierzęta nie będące przedmiotem polowania, które z oznaczonego w §. 5. lit. *a)* samodzielnego okręgu polowania wypadły, winny być także jako szkody przez zwierzynę wyrządzone uważane.

§. 63.

Obowiązanym do wynagrodzenia szkód przez polowanie wyrządzonych (§. 60. lit. *a)*) przysługuje regres do bezpośrednio winnych według zasad powszechnego prawa cywilnego.

Za szkody w §. 62. oznaczone pozostawia się uprawnionemu do polowania regres do odnośnego posiadacza samodzielnego polowania, przyczem ten pierwszy musi przeprowadzić dowód na okoliczność, iż zapłacona przez niego szkoda przez zwierzęta tego ostatniego wyrządzoną została.

§. 64.

Każdy posiadacz gruntu ma prawo grunta swoje od wdzierania się zwierzyny zabezpieczyć, poczynione jednak w tym celu zarządzenia nie powinny służyć do łapania zwierzyny. Przytem mają być w okolicach nad wodami położonych odpowiednie przyrządy co 400 metrów ustawione, aby podczas wielkiego wylewu wody zwierzęta ratować się mogły.

Każdemu wolno jest dalej, jeżeli zachodzi obawa przed znaczniejszą szkodą, zwierzęta od gruntów swoich przez ustawienie wart, przez psy, przez urządzenie straszydeł, przez zakładanie ognia w nocy i t. p. odstraszyć lub odpędzić.

Jeżeliby się przy takiej sposobności jakie zwierzę zraniło lub padło, to uprawniony do polowania nie ma prawa żądać za to wynagrodzenia.

§. 65.

Również uprawniony do polowania może w obrębie swego okręgu polowania położone obce grunta za pomocą oparkanienia lub innych jakich środków ostrożności od uszkodzenia ze strony zwierząt chronić, musi jednak mieć na to przyzwolenie dotyczącego posiadacza gruntu. Uprawniony do polowania jest pomimo takich zarządzeń do wynagrodzenia szkody przez zwierzynę wyrządzonej obowiązany, chyba, że przez niego udowodnionem zostanie, iż cel tych jego zarządzeń z winy poszkodowanego został udaremniony.

Jeżeli zamierzone przez uprawnionego zarządzenia są do ochrony obcych gruntów przeciw uszkodzeniom ze strony zwierzyny przydatne i są zarazem tego rodzaju, iż posiadaczowi gruntu używania takowego nie utrudniają, a tenże pomimo to odnowił przyzwolenia na te zarządzenia, to traci on prawo do wynagrodzenia szkody przez zwierzęta wyrządzonej ze strony uprawnionego do polowania.

§. 66.

Szkody wyrządzone przez zwierzynę w sadach, ogrodach warzywnych i parkach, dalej w szkółkach drzew i na stojących pojedyńczo młodych drzewkach, mają być tylko wtedy wynagrodzone, jeżeli jest udowodnionem, iż szkoda nastąpiła pomimo, iż dla ochrony uszkodzonych przedmiotów takie środki zapobiegawcze ze strony posiadacza przedsięwzięte zostały, które przy zwykłych stosunkach szkodę rzeczoną powstrzymać są w stanie.

§. 67.

Szkody wyrządzone przez zwierzynę na dojrzałych lub też już zebranych ale jeszcze nie zwiezionych plonach, mają być tylko w takim razie wynagrodzone, jeżeli jest udowodnionem, że w czasie, kiedy szkoda wyrządzoną została, wywóz plonów przy zwykłych stosunkach nie był jeszcze możliwy, albo też, jeżeli rozchodzi się o plony, które i na wolnem polu przechowywane być mogą, że takie środki zapobiegawcze przedsięwzięte zostały, które przy zwykłych stosunkach są w stanie szkodę rzeczoną powstrzymać.

§. 68.

Jeżeli szkody przez polowanie lub też przez zwierzynę w zbożu lub też w innych ziemiopłodach, których wartość dopiero w czasie żniwa da się oznaczyć, przed tymże czasem wyrządzone zostały, to należy takowe w tym rozmiarze wynagrodzić, w jakim się one w czasie żniwa przedstawiają.

§. 69.

Przy oznaczeniu wysokości szkody, przez polowanie lub zwierzynę wyrządzonej, według rozmiaru, w jakim się ona w czasie żniwa przedstawia, obliczona być ma rzeczywista strata, jaką poszkodowany na swoich plonach poniósł, po potrąceniu wydatków, które byłyby go aż do zebrania plonów spotkały.

O ile szkoda według zasad racyonalnego gospodarstwa przez ponowną uprawę w tym samym roku wyrównaną by być mogła, i na tę okoliczność przy oszacowaniu wzgląd mieć należy.

§. 70.

Względem pretensyi do wynagrodzenia za szkody przez polowanie i przez zwierzynę wyrządzone, rozstrzygają władze polityczne.

W pierwszej instancyi jest polityczna władza tego powiatu kompetentną, w którego obrębie uszkodzenie miało miejsce.

§. 71.

Poszkodowany winien, jeżeli dobrowolne porozumienie pomiędzy nim a uprawnionym do polowania nie przyjdzie

do skutku, zgłosić pretensyę swą do wynagrodzenia u władzy politycznej w czasie, w którym szkoda jeszcze jest widoczna i ocenioną być może, gdyż inaczej gaśnie pretensya jego do odszkodowania.

Zgłoszenie to nie potrzebuje w wypadkach w §. 68. określonych zawierać w sobie cyfrowego oznaczenia wysokości żądanego wynagrodzenia, lecz takowe nastąpić może dopiero w ponownem podaniu, według §. 76. wnieść się mającem.

§. 72.

Polityczna władza powiatowa usiłować ma przedewszystkiem doprowadzić strony do zgody, a jeżeli to nie nastąpi, zarządzić wcześnie potrzebne dochodzenia przez znawców na miejscu przy współudziale interesowanych.

§. 73.

Komisya znawców bywa złożona w ten sposób, iż poszkodowany i do wynagrodzenia szkody pociągany, wyznaznaczają każdy po jednym znawcy, a ci dwaj znawcy wybierają wspólnie trzeciego, jako przewodniczącego.

Jako znawcy, mogą tylko nieskazitelni i doświadczeni fachowi ludzie być używani. Jeżeli dochodzenie komisyjne przeprowadzonem być ma co do więcej wypadków szkody w jednej lub więcej sąsiednich gminach, to wybierają poszkodowani posiadacze gruntów wspólnie jednego znawcę.

Jeżeli poszkodowani na wybór swoich znawców, albo dwaj przez poszkodowanego i pociąganego do odszkodowania oznaczeni znawcy na wybór przewodniczącego zgodzić się nie mogą, to nastąpić ma oznaczenie tychże przez polityczną władzę powiatową, której także przysługuje prawo osoby, które po myśli alinei 2. nie wydają się być odpowiedniemi, jako znawców nie dopuścić i inne osoby na ich miejsce powołać. Przeciw tym ewentualnym zarządzeniom politycznej władzy powiatowej żaden tok prawny nie ma miejsca.

§. 74.

Przy komisyjnem dochodzeniu mają znawcy zbadać i orzec:

1) czy uszkodzenie nastąpiło rzeczywiście przez zwierzynę, względnie przy wykonywaniu polowania;
2) w wypadkach §§, 65., 66. i 67., czy do ochrony uszkodzonego przedmiotu zostały przeciw uszkodzeniu ze strony zwierzyny takie środki zapobiegawcze przedsięwzięte, które przy zwykłych stosunkach byłyby w stanie rzeczoną szkodę powstrzymać, względnie czy w czasie, kiedy szkoda miała miejsce, zebranie plonów przy zwykłych stosunkach było możliwe.

§. 75.

W owych wypadkach, w których, jak to n. p. przy uszkodzeniach kultury leśnej lub młodnika się zdarza, wartość wyrządzonej szkody natychmiast w pewny i dokładny sposób skonstatowaną być może i do wypośrodkowania takowej aż do czasu zbioru czekać nie potrzeba, mają też znawcy natychmiast o wysokości szkody przez polowanie lub zwierzynę wyrządzonej ostatecznie orzec, poczem winna władza polityczna po jeszcze jednem usiłowaniu doprowadzenia do dobrowolnej ugody wydać decyzyę względem wysokości odszkodowania.

§. 76.

W owych wypadkach jednak, w których pewne i dokładne oznaczenie wartości wyrządzonej szkody na razie nie jest możliwe, lecz celem dokładnego oszacowania takowej, aż do czasu zbioru czekać potrzeba, to ma poszkodowany pod zagrożeniem wygaśnięcia pretensyi jego do odszkodowania wnieść, wcześnie jeszcze przed rozpoczęciem czasu zbioru, do politycznej władzy powiatowej podanie z prośbą o przeprowadzenie ponownych oględzin naocznych, poczem władza rzeczona winna oględziny te przy współudziale stron interesowanych, i jeżeli to jest możliwem, przy współudziale znawców, przy pierwszych komisyjnych oględzinach użytych, a gdyby to nie było możliwem, przy współudziale innych, według §. 73. oznaczyć się mających znawców, przeprowadzić.

Przy tych ponownych dochodzeniach komisyjnych należy przedewszystkiem skonstatować, czy kultury, na których szkoda wyrządzoną została, nie zostały także przypadkiem w ciągu lata lub jesieni przez klęski elementarne, przez długo trwającą niezwykłą słotę albo przez owady mniej lub więcej uszkodzone, tak, iż pomimo szkód, przez zwierzynę lub psy przy wykonywaniu polowania wyrządzonych, byłby i tak zbiór daleko mniejszy, poczem dopiero mają znawcy w uwzględnieniu wszystkich tych okoliczności wydać co do wysokości szkody, przez polowanie i zwierzynę wyrządzonej, ostateczne orzeczenie.

§. 77.

Polityczna władza powiatowa winna następnie na podstawie wyniku powtórnych oględzin łącznie z wynikiem pierwszych oględzin, po jeszcze jednem usiłowaniu doprowadzenia do dobrowolnej ugody, wydać co do wysokości odszkodowania orzeczenie.

§. 78.

Do przeprowadzenia powyższych dochodzeń względem szkód przez polowanie i zwierzynę wyrządzonych, może władza polityczna od wypadku do wypadku delegować zwierzchność gminną.

§. 79.

Polityczna władza powiatowa winna w orzeczeniu co do wynagrodzenia szkody, orzec zarazem i co do zwrotu kosztów postępowania, a to na osobne żądanie nawet i wtedy, chociażby odpadła potrzeba decyzyi co do wynagrodzenia szkody.

Względem zwrotu kosztów postępowania, mają moc obowiązującą następujące postanowienia:

1) uprawniony do polowania winien w razie skazania go na wynagrodzenie szkody, w regule zwrócić poszkodowanemu posiadaczowi gruntu wszystkie koszta, jakie celem uzasadnienia jego pretensyi potrzebne się okazały, natomiast winien skarzący, który z pretensyami swemi całkiem został oddalony. zwrócić uprawnionemu wszelkie koszta, jakie tenże poniósł dla swojej obrony.
2) Zwrot kosztów zastępstwa nie ma miejsca.
3) Jeżeli skarzącemu nie został przyznany cały przez niego żądany zwrot szkody, to mają koszta postępowania stosunkowo pomiędzy poszkodowanego i uprawnionego do polowania być rozdzielone, przyczem na to wzgląd brać należy, w jakim stosunku zmniejszenie pretensyi w skardze wyrażonej nastąpiło.
4) Jeżeli przed zarządzeniem dochodzenia szkody ofiarowaną była poszkodowanemu w drodze ugody, jako odszkodowanie, kwota, która conajmniej równa się kwocie odszkodowania przyznanej po ukończeniu postępowania, to mają koszta ponieść poszkodowany i uprawniony do polowania w równych częściach.
5) Jeżeli jednak ofiarowana przez uprawnionego do polowania przed zarządzeniem dochodzenia szkody, kwota

była znacznie wyższą, jak kwota odszkodowania, przyznana po ukończeniu postępowania, to winien poszkodowany koszta obydwu stron sam ponosić.

§. 80.

W kontraktach dzierżawy o polowanie lub też na podstawie umów w inny sposób zawartych, mogą względem wynagrodzenia szkód przez polowanie wyrządzonych, odmienne od postanowień niniejszej ustawy układy być uskutecznione.

IV. Władze, postępowanie i kary.

§. 81.

Wykonywanie postanowień niniejszej ustawy przysługuje władzom politycznym. Zwierzchności gminne, przełożeni obszarów dworskich, organa policyi targowej, c. k. żandarmerya, jakoteż zaprzysiężony personal do ochrony polowania, powołane są w miarę odnośnych postanowień niniejszej ustawy i w myśl ciążących na nich ogólnych, ustawą wskazanych obowiązków, do współdziałania przy wykonywaniu niniejszej ustawy; w szczególności winny są one ścisłe przestrzeganie takowej nadzorować i donosić o spostrzeżonych nadużyciach.

§. 82.

W wypadku, jeżeli gmina, której poruczono załatwianie spraw administracyjno-politycznych w pierwszej instancyi, posiada na mocy §. 7. alinea 2. samodzielny okręg polowania, to rozpoznawanie i rozstrzyganie w I. instancyi przysługuje co do wszystkich, do tego samodzielnego okręgu polowania odnoszących się spraw, w których gmina jako strona występować by miała, politycznej władzy krajowej.

§. 83.

Jeżeli kto przez zarządzenie wydane na podstawie niniejszej ustawy pokrzywdzony się być mieni, może przeciw onemuż wnieść rekurs do Namiestnictwa, a przeciw decyzyi Namiestnictwa, do Ministerstwa rolnictwa.

Przeciw orzeczeniu karnemu służy jednak droga rekursu do Ministerstwa spraw wewnętrznych. Przeciw zatwierdzeniom przez Namiestnictwo, lub złagodzonemu orzeczeniu karnemu, niemniej też przeciw potwierdzonemu przez Namiestnictwo orzeczeniu, co do wynagrodzenia szkód przez polowanie i zwierzynę wyrządzonych, dalsze odwołanie miejsca nie ma.

§. 84.

Rekursa przeciw rozstrzygnięciom politycznej władzy powiatowej w przeciągu dni 14, rekurs zaś przeciw rozstrzygnięciom Namiestnictwa w przeciągu czterech tygodni od dnia doręczenia na ręce politycznej władzy pierwszej instancyi wnoszone być mają.

§. 85.

Przekroczenie postanowień niniejszej ustawy ulega przedawnieniu, jeżeli przekraczający w przeciągu trzech miesięcy od dnia popełnienia przekroczenia do odpowiedzialności nie został pociągnięty.

§. 86.

Wszelkie przekroczenia przepisów zawartych w niniejszej ustawie, o ile do nich powszechna ustawa karna nie ma zastosowania, karane być winny przez polityczną władzę powiatową grzywną od 5 do 500 złr.

W razie przekroczenia §. 26. orzekaną być ma najniższa kara w wysokości 25 złr. W razie cięższych, przez dłuższy czas trwających albo powtarzających się przekroczeń niniejszej ustawy, orzeczoną być ma w miejsce kary pieniężnej, kara aresztu od 1 do 40 dni.

§. 87.

W razie niemożności ściągnięcia nałożonych według ustawy niniejszej grzywien, należy zamienić takowe na kary aresztu, a to licząc jeden dzień za każde 5 złr.

§. 88.

Nałożone w myśl ustawy niniejszej grzywny, jakoteż pieniądze uzyskane za broń, za przepadłą uznaną, przez władzę polityczną w drodze publicznej licytacyi sprzedać się mającą, wpływają do funduszu ubogich owej miejscowości, w której przekroczenie popełnione zostało.

MARCINEK.

Na tle cudzych i swoich wspomnień

skreślił

ALEKSANDER UBYSZ.

(Ciąg dalszy.)

Po obiedzie, rzecze do nas Marcinek:

— A możeby panowie odwiedzili i moje mieszkanie?

Poszliśmy. Mieszkanie Marcinka było w oficynach. Na jednym rogu długiego budynku były kuchnie „stołowa“ i czeladnia, mieszkanie klucznicy i spiżarnie — na drugim rogu było mieszkanie Marcinka.

W pierwszej, wapnem bielonej, dużej i wyszukanie czystej izbie, pod ścianą, na której rozwieszone były strzelby, trąbki i t. p. akcessorya myśliwskie, stało niewymyślne łoże o skórzanej poduszce. Na skórze dziczej podnóżnej leżał wygodnie wyżeł rasy czeskiej. Duże, dębowe, na czarno pomalowane biórko, założone było książkami i regestrami. W końcu sofka „pestrą“ powleczona, kilka takichże krzeseł, stół sosnowy i szafa, prawdopodobnie na rzeczy, stanowiły całość umeblowania.

— A pokaż nam Marcinku swe ptaszki — rzekł Sylwery.

Otworzywszy drzwi, wprowadził nas gospodarz do drugiej nie wiele mniejszej izby. Na ścianach wisiało mnóstwo mniejszych i dużych klatek, pełnych przeróżnego ptactwa.

W kącie, na kółkach, zebrane w kłęby, jak rozjazdy, a zwinięte, jak sieci na ptaszki, wisiały sieci.

— Wszystkie ptaszki — rzekł Marcinek — jak za czasów pani naszej, z nadejściem wiosny, idą na wolność.

— Ależ to śliczny wózek — zawołał Sylwery z zachwytem, przystąpiwszy do złożonego, lecz nieokutego jeszcze, kształtnego wózka.

— To dla ciebie Sylwerku, własną ręką go zrobiłem.

Podziękowanie ze strony obdarowanego było gorące. Bo w istocie cała drewniana robota wózka była mistrzowska.

— Ja i strzelby osadzam — rzekł Marcinek, podając nam do przeglądnięcia kilka osad gotowych pod pojedynki i dubeltówki. Niektóre były nawet dość zgrabnie rzeźbione.

— Rzeźby wykonuje samouk, sierota, 14-letni garbusek. Poduczyłem go tyle, że potrafi już sam zrobić łoże. Przypadkowo odkryłem ten prawdziwy talent snycerski. Przed dwoma laty najmował się jako poganiacz do pługa. Pewnym razem, w ręku jego spostrzegłem biczysko, niby girlandą z kwiatów i kłosów zbożowych owinięte.

— Kto ci to zrobił? — zapytałem.

— A ja, proszę jegomości.

— A któż cię tego uczył?

— Ta nikt! Człowiek widzi kwiatki i różne rzeczy, i takie same na drzewie wystrugał. — Wątły to chłopczyna, w dodatku garbaty, nie ma siły do siekiery lub ciężkiego dłuta, zatem zaraz z wiosną oddam go na naukę do jakiego snycerza...

— Kochany Sylwerku — przemówił Marcinek — możebyśmy oba i z tym panem — dodał, wskazując na mnie — przeglądnęli rachunki i regestra. Kiedyś mógłby mi kto zarzucić, że prowadząc gospodarstwo sędziwej staruszki, więcej o sobie pamiętałem...

— Ależ Marcinku — odrzekł Sylwery — my wszyscy mamy ciebie za krewnego i dobroczyńcę kochanej naszej babki, a nie za jakiegoś sługę.

Nic nie pomogło; pozycya po pozycyi wydatków i dochodów przechodząc, musieliśmy do ciężkiej zaprząc się pracy. Wszystko zapisywane było jak najrzetelniej.

— A psy gończe, osobliwie charty, pokaż nam je! — zawołał Sylwerek, chcąc się uwolnić od rejestrów.

— Gończaków mam troje, jak zawsze ulokowane w stajni wołowej, nie końskiej, bo się przekonałem, że ostre wyziewy mierzwy końskiej przytępiają w psach gończych „wiatr“. Charty wnet tu przyprowadzę.

I wyszedł na chwilę, żeby dać rozkaz.

Niebawem chłopak od „cugowych“ koni wprowadził do izby parę chartów. Chart wyglądał na pokurcza, a charcica jakiejś mięszanej rasy nader niepociesznie się prezentowała; chuda była, nie młoda.

— A czemuż suka taka chuda? — zapytałem chłopca.

— Ej, bo proszę pana, rady z nią sobie dać nie mogę. Przebierna w jedzeniu, jakby jaka garderobiana z miasta. Jadłaby, ale samo mięso. Mówią, że się „Lotka“ nazywa; my ją tu „biedą“ wołamy, bo taka mizerna, jak bieda.

— Mało mam czasu na polowanie; gospodarka w majątku o trzech folwarkach wiele wymaga zajęcia. Po obsiewach ozimych wymknę się niekiedy w las nasz, spory kawał oddalony, ubiję jednego lub dwa rogacze, i wracam do domu. A czynię to nie tyle dla pasyi, ile, żeby pani nasza miała zwierzynę. Na zająca poluję po gajach. Stary „Zagraj“, który wolno goni, wypłasza mi zające, a ja biję. Mamy my tu i błota przy stawie. W porze, gdy na inną zwierzynę polować się nie godzi, chcąc zdobyć zwierzynę dla naszej pani, idę na błota z moim wyżłem, którego prababkę szczenięciem z Czech przywiozłem, i ubijam bekasy, dubelty lub cyranki na stawie.

— Opowiedzno Marcinku owe polowanie na wilki — rzekł Sylwery.

— I owszem. A dawno to było, bardzo dawno. Jeszcze pod ten czas żył dziad twój — mówił Marcinek — a ja byłem jeszcze młodym chłopcem. Pewnej jesieni, „coś“, jak chłopi mówili, poczęło po okolicznych wsiach grasować, i, czego dawno nie bywało, sprzątać z pastwisk konie, osobliwie źrebięta. Nikt inny to nie był, tylko wilki. Nieboszczyk dziad twój, po naradzie z sąsiadami, w swoich i sąsiedzkich lasach urządził obławę. Kilka wsi najchętniej dostarczyło ludzi do tej obławy. Około godziny 10-tej przed południem, gdy suponowano, że wilki, obżarłszy się, obległy w kniei, rozpoczęto hałaśliwe polowanie. Dziadek, jakkolwiek niemyśliwy, wraz z babką, która na wszelki wypadek wzięła z sobą swoją dwururkę, i zemną niemniej w strzelbę uzbrojonym, udaliśmy się bryczką aż do lasu. Ja, jakkolwiek młody, radziłem, żeby stanąć z bryczką u skraju lasu, w stronie, gdzie znajduje się tak zwana „zapadnia“, to jest moczarna i gęsto młodą osiczyną i wikliną porośnięta kotlina. Bo jeśli gdzie, to chyba tam wilki mają swe legowisko. Państwo mnie usłuchali. Wyprzągnięto konie z bryczki i daleko w tył odprowadzono, bo w razie, gdyby się wilki ukazały, mogłyby się spłoszyć. Czekamy. Gdzieś daleko poczęli chłopi hałasić, lecz strzałów nie słychać. „Widocznie nie ma wilków“, rzekła pani. Minęła godzina, czem raz wyraźniej słychać głosy obławy, lecz ani jeden strzał nie padł. Naraz pani, co miała oko sokole, trąca mnie i mówi: „patrz“. W samej istocie, z zarośli wynurzyły się łby wilcze. Pani wypaliła do jednego, ja do drugiego. Mój zaraz skoziołkował, ten zaś, do którego pani strzelała, począł pomykać za pozostałymi czterma towarzyszami. Podbiegłam nieco i poprawiłem lotkami. Oba zostały na miejscu.

Pani nie posiadała się z radości.

— Ależ moja Reginko — rzekł dziadek — strzelasz jak Diana! A i z ciebie Marcinku zuch nie lada.

— Mój uczeń przecie — odrzekła babka.

Chłopi z obławy i myśliwi zjawili się przy nas, solennie zaręczając, że wilków nie ma.

— Ktoś tu strzelał — przemówił jeden z sąsiadów, będący wyrocznią myśliwską całej okolicy.

— A to my strzelaliśmy do zajęcy — odrzekła pani z uśmiechem. — Pójdźno Marcinku i wyciągnij z krzaków (bo tam z umysłu ubite wilki skryliśmy) te dwa zające.

— Ach! ach! — posypały się okrzyki. — A któż to ubił?

— Jednego ja, a drugiego Marcinek.

Ludzi z obławy, suto uczęstowanych, państwo odprawili, myśliwych zaś w domu ugoszczono. Sylwerek zna to wszystko dobrze, lecz jeżeli to pana nudzić nie będzie, opowiem dalszy ciąg tej wilczej historyi.

Ma się rozumieć, że solennie zaręczyłem, iż mnie i pierwsza i druga historya mocno zajęły.

— Pozostałe cztery wilki — ciągnął dalej Marcinek — pomknęły w pola, dwa tygodnie o sobie słychu nie dając. Naraz ponownie w tej i owej miejscowości poczęły znikać źrebięta; kilka koni uduszono i pożarto. U nas żadnej nie było szkody.

Pewnego wczesnego ranka, chłopak, który mi usługiwał, daje mi znać, że krzywy Szymek, szewc z profesyi, koniecznie z samym panem widzieć się pragnie. Godzina była zawczesna, więc do kancelaryi, gdzie mieszkałem, wprowadzić go kazałem.

— Strach, proszę panicza — rzekł na wstępie osłabionym głosem. — Widziałem „zwiry“. (Tak lud wiejski kilku wsi okolicznych wilka nazywa). — Skończywszy robotę na „Chałupkach“, dziś przed świtem do domu wracam. Już się było nieco rozjaśniło od zorzy i „miesiączek“ na ostatniej „kwatyrze“ będący, ostatkami świecił, więc było dość widno. Patrzę, a tu cztery wilki idą poletkiem powolutku. Oho! pomyślałem, już po mnie; rozszarpią cię Szymku w kawałki. Toż nie wiele się namyślawszy, buch ja na kolana, i począłem odmawiać pacierz po cichutku. I skutkowało. Wilki, ani na mnie spojrzawszy, przeszły koło mnie parę kroków, i „sznurkiem“ poszły w ten dziki gaj brzozowy, którego wąwozem potoczek do stawu naszego płynie.

Były to widocznie owe cztery wilki, które nam podczas owej obławy uszły. Zebrawszy się na prędce, poszedłem do państwa i wszystko to im powtórzyłem.

— Musimy na nie, i to zaraz, zapolować — zawołała pani ożywiona.

— Ja coś dziś niezdrowym się czuję — rzekł pan — dlatego i ty, moja Reginko, komu innemu polowanie zostawisz. Niech który ze stajni co tchu wozem po leśniczego gajowych do lasu pojedzie.

Wydałem stosowny rozkaz.

I po pół godzinie jawił się stary leśniczy wespół z swoimi czterma gajowymi, a wszyscy w strzelby uzbrojeni. Leśniczy ten, jeszcze z czasów nieboszczyka sędziego, słynął jako wyborny myśliwy. Jemu też państwo kierownictwo odbyć się mającego polowania powierzyli.

Wraz z młockami, którzy do młócenia zboża byli przyszli i wszystką męską służbą dworską, zrobił się poczet dosyć okazały, bo około 50 ludzi wynoszący, w cepy i drągi uzbrojony. Nas ze strzelbami było ośmiu, a samych domowych. Ruszamy ku owemu brzozowemu gajowi, i w największej ciszy zajmujemy stanowiska u samego skraju, w stronie, gdzie o jakie ćwierć mili czerniały lasy nasze i cudze.

Leśniczy niemniej i chłopom w jak największej ciszy postępować kazał. W razie jednak ujrzenia wilków dopiero mieli począć wrzawę.

Gaik był niewielki, toż obławnicy szli niemal chłop przy chłopie. Aż tu poczynają wołać: „Bij! bij! wilki!“ Na pierwszego mnie wyszła stara, duża wilczyca. Strzeliłem i wpakowałem jej w bok pięć lotek. Padła na miejscu, a mimo, że kroku ruszyć nie mogła, żyła jeszcze; aż później chłopi cepami ją dobili.

Leśniczy ubił dwa wilki, jednego zaś, po chybionym strzale ekonoma, zabił leśny. Ekonom tłumaczył się, że chybił z wielkiej zawziętości, gajowi zaś twierdzili, że mu ze strachu ręce dygotały.

Z wielkim tryumfem około południa do domu wróciliśmy. Młocków, po uczęstowaniu i policzeniu im tych kilku godzin obławy za cały dzień odbytej pańszczyzny, do domów rozpuszczono. Szymek w nagrodę dostał 5 złr. m. kon., a mnie oboje państwo serdecznie wycałowali.

— Ale przepraszam panów — dodał Marcinek — że ich opuszczę; jest to pora maryasza i muszę spieszyć do pani. Gdy ja całkowicie nie mam czasu, w maryaszu zastępuje mnie panna Przecława, lecz pani gra z nią niechętnie, bo się sprzeczać lubi.

Weszliśmy i my do pokoju, gdzie się gra odbywała. Sylwery szepnął mi na ucho:

— Przepraszam pana, że go na chwilę samego pozostawię; poszukam w pokoju babci jednej rzeczy.

Ja zatem, wziąwszy zapaloną świecę, poszedłem do owego bawialnego pokoju, który mnie był tak zachwycił. Wyznam otwarcie, że sczerniałe obicia ścian i cisza, jaka tam panowała, w dodatku słabe oświetlenie jedną świecą, jakieś smutne uczucia we mnie wzbudziły. Zdawało mi się, żem wszedł do jakiejś grobowej kaplicy. Klawikord, kanapa i sofki wydały mi się trumnami, a ściany tem bardziej ponurością raziły, że wszystkie pokoje były bielone.

Z bawialni prowadziły drugie drzwi do tak zwanych głównych, oddawna zamkniętych sieni. Usłyszawszy ztamtąd głos jakiś, począłem nasłuchiwać.

— Ej stary! stary! co tak bałamucisz? — Po głosie poznałem lokaja Fabiana. — Wstydź się — mówił dalej — ten mały jak słońce regularny.... Ale prawda, moja wina, miałem cię posmarować, i zapomniałem. Za to teraz przyniosłem olejek miętusowy, zaraz ci on pomoże

Nie mogłem poznać na razie z kim Fabian gwarzy, lecz syczenie kółek i chrapliwy dźwięk sprężyny, dały się wkrótce domyśleć, że naprawia zegar, Bóg wie jak stary.

Otworzywszy drzwi, stanąłem przed Fabianem. Zamajstrowany, długi czas mnie nie spostrzegł, aż przemówiłem.

— Zegar ten, proszę pana — rzekł Fabian — to prawdziwy gdański; przywiózł go z Gdańska jeszcze dziad nieboszczyka Sędziego. Niechno pan patrzy, jaka to robota! Cyferblat z srebrnej blaszki, a kółka ręcznej roboty, trochę wprawdzie wychodzone, ale posmarować, gładko się obracają. Wagi ołowiane, na łańcuszkach, toną w tej szafce. A perpendykuł? To jak pan widzi, rycerz na koniu z nadstawioną kopiją. Ja więcej niż lat 50 pilnuję tego zegara. Ojciec Sylwerka koniecznie chciał zabrać ten zegar, ale nie dałem.

— To Fabian widzę nie lubi ojca Sylwerka?

— Prawdę powiedziawszy, nie bardzo... Choruje na pana, a wieś w krakowskiem, co ją dostał w posagu za Reginką, dobra, ale to nie pańska fortuna. Mąż młodszej córki, Maryni, co mieszka w Jasielskiem, dobry człowiek, ino że ciągle by polował. Skoro tu czasem przyjedzie, dom do góry nogami wywróci. Ciągłe polowania, a ściągają do niego wszystkie hulaki z naszej okolicy. My już od tych hałasów odwykliśmy. .. Będzie szedł — mruczał stary jakby do siebie. — Tyk, tak, tyk, tak. Bije, raz, dwa... Taż to dziewiąta, a ty bałamucie tylko sześć razy uderzyłeś! No, jutro i temu poradzę, bo teraz czas nakrywać do kolacyi.

Fabian ruszył gdzieś zakamarkami, ja zaś przez bawialnię zaszedłem znowu do pokoju, w którym *con amore* grano maryasza.

Przy drugim stoliku panna Przecława wykładała Sylweremu sposobem praktycznym pasyanse. Między innymi „nieochybny“. Po zmięszaniu i zebraniu talii z 24 kart się składającej, ciągnie się z całego następującym porządkiem: tuz, król, kralka (dziesiątka), wyżnik (dama), niżnik (walet), siódemka. Jeżeli wyciągnięta karta odpowiada istotnie miejscu przeznaczonemu, odsuwa się ją na bok i dalej ciągnie, lecz kart się nie mięsza, tylko tak długo ciągnie, aż wyjdą lub nie.

— To prawdziwy kawalerski lub panieński pasyans — mówiła panna Przecława. — To pewniejsze, niźli wyrocznia z rumiankiem, kocha nie kocha.

— Czy panna Przecława wie to z doświadczenia? — rzekł Sylwery.

— Niegrzeczny Sylwerek — ofuknęła staruszka, — któż widział robić takie zapytania?

Ale oto i wieczerza, i ten sam co wczoraj jej porządek, babcia zdrzemnęła się w swym fotelu. I my, wraz z później nieco przybyłym Marcinkiem, znaleźliśmy się w naszym pokoju.

— Możebyśmy jutro zapolowali Marcinku? — rzekł Sylwery.

— Dobrze, lecz nie prędzej, jak koło godziny dziesiątej, gdy z folwarków powrócę. Panowie — dodał — możecie przedtem zapolować do dnia z chartami. A pan — rzekł, do mnie się zwracając — jak poznałem, charciarz z powołania, obejmie kierownictwo tej dla Sylwerka obcej rzeczy. Zatem jutro z świtem wspólnie z domu wyruszymy. Ja w swoją, a panowie w swoją stronę. Panu, jako nieznającemu okolicy, osobliwie dużo lisich dróg wskażę po drodze.

— Teraz — rzekł Sylwery po odejściu Marcinka — pokażę panu rzecz ciekawą w swoim rodzaju. Oto są pamiętniki mojej babki, dość dawno, bo jeszcze za panieńskich czasów rozpoczęte i w długie lata dalszym ciągiem pisane.

Tu dobył z pod swej poduszki dość dużą i grubą książkę w ciemno-błękitny safian oprawną.

— Marcinek, gdyby wiedział, że pamiętniki te panu do czytania dałem, mocno by się na mnie gniewał. Jakkolwiek nie ma w tych wyznaniach babki żadnych takich rzeczy, któreby przynosiły ujmę jej lub naszej rodzinie, Marcinek, mimo swej grzeczności, kto wie, możeby je z rąk panu wydarł.

Książka, dość gruba, nie była w całości zapisana. Dziwna, w połowie zapisana ostatnia stronnica, jakby na zakończenie, miała umiejętną ręką narysowaną kaplicę, widocznie cmentarną, gdyż otaczały ją mogiły i krzyże grobowe. Z mojej strony otwarcie wyznam, że niepowołane czytanie czyli wkradanie się w tajemnice rodziny, która mi była obcą, niemiłe na mnie zrobiło wrażenie; toż wręcz oświadczyłem Sylweremu, że tych pamiętników czytać nie będę.

— Zatem tak zróbmy — rzekł Sylwery — ja te pamiętniki w cichości dla siebie czytać będę, a gdy napotkam co ogólnego, do spraw rodzinnych nienależącego, panu głośno przeczytam. A wiem, że są tam ustępy ściśle myśliwstwa się tyczące.

— Na to z ochotą przystaję.

Dość długo w noc Sylwery przeglądał pamiętniki. W końcu rzekłem mu dobranoc, bo jutro Marcinek przed świtem nas pobudzi.

Daleko było jeszcze do dnia, gdy Marcinek wszedł do naszego pokoju. Ja natychmiast się obudziłem i począłem ubierać. Sylwery, który był wrogiem zbyt rannego wstawania, po dość długiej dyspucie na temat: po co tak rano na polowanie wyjeżdżać — na przypowieść przezemnie przytoczoną:

A gdy świtem mknie ku dziurze,
Nie przepuszczaj „łapikurze“ —

alias lisowi, wstał, ubrał się, i wypiwszy we trzech kawę, wyszliśmy przed ganek. Stały już proste sanie, przykryte kocem. W nogach znajdowała się ogromna baranica dla nas i do przykrycia chartów. Nas powoził chłopak stajenny. Marcinek jechał w osobnych jednokonnych sankach.

— Najprzód — rzekł Marcinek — pojedziemy w pobliże naszej drugiej wsi. Z trzech stron w dalekiej przestrzeni las ją otacza. Grunt wzgórkowaty jak raz nadaje się na lisie szlaki, toż częstokroć i wśród południa można tam spostrzec lisiurę, jak syty do jednego z lasów do nory powraca. Ja najprzód pojadę na folwark, ekonomowi wczasować lub powiedzieć dzień dobry. Potem się na drodze do leśniczówki zjedziemy.

Właśnie zaświtała rumiana zorza. Poczęło się rozjaśniać. Nie mając zbyt mocnego wzroku, czem Sylwery więcej jeszcze odemnie grzeszył, w celu dalekiego upatrywania lisa, wzięliśmy z sobą niewielką lecz dobrą perspektywkę.

Spojrzałem najprzód w stronę dworu. Cóż to, mimo zimy, za wdzięczne położenie? Dwór i jego zabudowania leżały na dość obszernej dolinie. Zabudowań prawie widać nie było, bo otaczały je sady i rzędy rozłożystych i szczytnych nadwiślańskich topoli. Najwdzięczniej rysowały się owych dwanaście, ręką ludzką sadzonych gaików, i kilka dzikich czyli samorodnych brzozowych. Dla zdala patrzącego tworzyły rodzaj dużej gwiazdy. Sady i gaje owe tę wielką dawały korzyść, że wstrzymywały pędy wiatrów, najwięcej równinami hulających. W pobliżu ciągnęła się wieś niemniej sadami otoczona, tak, iż widniała z niej tylko wieża kościelna.

— Ach! — pomyślałem sobie — gdy te sady zakwitną i gaje się zazielenią, jak tu ślicznie być musi!

Dość jednak tych uniesień, patrzmy za lisem, czy gdzie nie myszkuje.

Pierwszy spostrzegł go chłopak stajenny. Wziąwszy go i ja przez szkła na oko, mówię chłopcu:

— Teraz siadaj gdzie ja, bo będę sam powoził.

— Ej, proszę pana — odrzekł chłopak, za uchem się skrobiąc — może będzie lepiej, że ja powiozę. Bo to pamięta panicz — rzekł do Sylwerego — ten chudy panicz Niemiec, zachciało mu się koniecznie końmi poganiać, no i do rowu nas wywalił.

— Nie troszcz się — odrzekłem z uśmiechem — jakoś tam pojedziemy.

Zaraz z miejsca pojechałem w przeciwną od lisa stronę.

— Co pan robi? — rzekł Sylwery — przecież lis nie w tej stronie, gdzie pan jedzie?

— Później tę przyczynę panu wyłożę, na razie upraszam o posłuszeństwo, w przeciwnym bowiem razie lisa nie uszczujemy.

Dość długo lawirując, wyjechałem na wzgórek, z którego o jakie 200 kroków, jak na dłoni, spostrzegliśmy lisa w małym rozdołku jak myszkował.

— Puszczajmy charty — szepcze mi Sylwery.

— Za daleko, a wreszcie spojrz pan. Ten lis widocznie był już kiedyś szczuty, bo zadarłszy kitę, ruszył w pole cwałem.

Na takie lisie *dictum*, i ja użyłem praktykowanego zwyczaju. W miejscu konie zwróciwszy, począłem oddalać się od lisa. Zgłupiał lis na ten manewr, przystanął i począł myszkować.

Skryty wzgórkami, zakreśliwszy duże koło, ukazałem się lisowi z przeciwnej strony, a mianowicie od niedalekiego lasu. Widząc to lis, znowu kitę zdarłszy, począł pomykać w stronę lasu i na razie defilował o jakie 30 kroków od naszych sani. Wtedy odkryłem baranicę, i — hajż go!

Po kilku obrotach, danych mu przez charcicę, które były o tyle skuteczne, że łamały pęd lisa, nadbiegł w końcu „bierczy“ chart, i wzięliśmy lisa. Sylwery, a nawet chłopak, nie posiadali się z radości i na wyścigi poczęli wychwalać znawstwo moje charciego polowania.

— My to z panem rządcą inaczej robimy — rzekł chłopak. — Skoro spostrzeżemy lisa, nuż na niego cwałem saniami. Puszczamy psy, choćby daleko. Złapią, to złapią.

— Tożeście tym sposobem lisy tak popłoszyli, że skoro dojrzy sanie, leci w dyrdy do lasu. Bo nie darmo mówi przysłowie: „Mądry jak szczwany lis“.

Objeżdżanie lisa, szczucie, wypoczynek chartom, zajęły nam około dwóch godzin.

Konie szły wolno, więc ja rozglądam się po polach, czy nie ujrzę gdzie lisa. Jest — ot tam, na wzgórku, niby czarny punkcik. Punkcik się porusza, więc to lis niezawodnie. Jadę, tędy owędy, zajeżdżając lub kołując; podjechałem

lisa z tyłu tak, że mocno zajęty myszkowaniem, w dodatku niepłoszony i głupi, bo młody, skoro nas spostrzegł, „przywarował“. Z tym krótka była ceremonia, charty wzięły go po pierwszym obrocie.

— Na razie mamy już dość — rzekłem. — Teraz chłopcze weź konie i wieź nas ku owej drodze do leśniczówki, gdzieśmy z Marcinkiem zjechać się mieli.

Wkrótce nadjechał Marcinek truchcikiem, swym wypasionym koniem niewielkiego wzrostu, którego „wilczkiem“ nazywał.

— A co — zawołał — jak poszło?

— Źle — mówię — dwa lisy szczuliśmy i oba uciekły.

— To źle — rzekł z drwiącym trochę uśmieszkiem. — Mnie staremu lepiej poszło, bo zabiłem rogacza, gdy ze stadkiem na rzepaku żerował.

— Nie słuchaj Marcinku — rzekł Sylwery — ot, szczuliśmy dwa lisy i obydwa złapali.

I począł opowiadać manewr z pierwszym lisem.

— Po tem poznaję — rzekł Marcinek — żeś pan charciarz doskonały.

Oglądnąwszy dużego ubitego rogacza, podszedłem, żeby się bliżej koniowi Marcinka przypatrzeć.

— Niech się pan nie przybliża — zawołał skwapliwie — ugryzie lub przedniemi nogami zachwyci.

Wistocie koń spostrzegłszy mnie, począł się „czulić“ i wymachiwać głową.

— Chcesz pan poznać — rzekł Marcinek — co mój wilczek, pomimo że go nie uczyłem, umie? Weź pan lejce i zechciej z miejsca ruszyć.

Sprobowałem. Wistocie, mądry koń; skoro, oglądnąwszy się, dostrzegł, że to nie Marcinek, ani kroku naprzód postąpić nie chciał.

— Mądre to stworzenie ten mój wilczek. W lecie, w jesieni lub na wiosnę, służy mi za wierzchowca. Prawdziwy „liczykopa“ ekonomski, gdy zeń zsiędę, jak pies za mną postępuje. I pod wierzchem i w zaprzęgu, nikomu, prócz mnie, do siebie przystąpić nie da. W stajni spokojny i łagodny, jak baranek. Gdy zaprzężony, skoro go postawię choćby dwie doby, pokąd nie nadejdę, z miejsca nie ruszy. A ostrzelany, ani drgnie, gdy mu ponad głową do ptaka lub zająca strzelam. Ale ruszajmy do leśniczówki.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

TOK CIETRZEWI.

Legenda litewska.

Młodość, Preński Starosta, przepędził na wojnie,
Osiwiały, w starostwie swem osiadł spokojnie;
Za hetmańską buławą zwykł biegać po szlaku,
Aż Rotmistrzem pozostał pancernego znaku.
Liczne włości posiadał, — a choć już sędziwy,
W Litwie całej był znany, najpierwszy myśliwy.
Wdowcem był... Odumarła jego żona młoda,
Lecz mu córka została, krasna jak jagoda.
W tej dziecinie starości swej szukał pociechy,
Ona jedna aniołem była wdowiej strzechy.
Gdzieś w wileńskim klasztorze chowana dziewica,
Miała duszę anioła i anielskie lica;
Osiemnasta już wiosna, — więc czas wyjść z klasztoru.
Ojciec skarb swój też zabrał w swój zamek śród boru.
„Andzia“ — takie jej miano — z duszą jasną, młodą,
Dla ojca była odtąd podporą, osłodą;
A że posag jej wielki, przytem wdzięków tyle,
Młódź leciała, jak gdyby do kwiatka motyle;
Ale Andzia o wybór żaden się nie kusi,
Wie, że li wola ojca w tem rozstrzygnąć musi.

Pan Podczaszyc, co dobił się rycerskiej sławy,
(Rodzic jego z Starostą chodził na wyprawy),
Że to pan całą gębą, i z rodu i z miny,
Wybór ojca nań upadł.... A więc, zaręczyny!
Andzia słówka nie rzekła, ale któż odgadnie
W sercu młodej dziewicy co spoczywa na dnie?
I już bliski dzień ślubu. Choć się cieszył stary,
Że się tak wkrótce spełnią te jego zamiary,
Jednak myśl mu się jedna jakby klin w mózg wbiła,
I wesołość mu truła i wszędzie goniła.
On tak kochał swe dziecię. Wiedział, że to kwiatek,
Czysty, jak lilia biała, jak róża, bławatek,
Że dotąd żaden wietrzyk po kwiatku nie wionął,
Że to kwiat, co swą wonią prosto w niebie tonął.
A czuł w sobie powinność — swoje dziecię drogie
Przygotować na przyszłą ciężką życia drogę,
Na stanu, w który wstąpi, z dzisiejszym, różnicę,
Słowem — wykryć przyszłości wielką tajemnicę;
Tajemnicę serc, które się ze sobą zlały,
O czem panny w klasztorze nigdy nie słyszały.
Takie sprawy zazwyczaj są matek udziałem,
Lecz Andzi matka w grobie. — Stary sercem całem
Pragnął ją w tem zastąpić, — wszak to rzecz sumienia,
Ale jakoś to ciężko mu szło, jak z kamienia.
Choć premium w ławkach szkolnych miewał z retoryki,
I wymową przed laty porywał sejmiki,
Ile razy przed córką stawał z przedsięwzięciem,
By jej rolę nakreślić z przyszłym swoim zięciem —
Język w trąbkę się zwijał, jakby jakimś czarem,
Trwożny stał, jak to ongi przed ojcem pijarem.
On, co nigdy nie zadrżał, kędy los się srożył,
On, którego tatarski żaden kosz nie strwożył,
On, co w sejmach, wyborach, słynął mową jasną,
Staje tu, jak żak trwożny. Gdzie? Przed córką własną!

Andzia siedzi przy krosnach, i nici barwnymi
Płótno z wdziękiem uściela kwiaty wiosennymi.
Ojciec kroki raźnymi po komnacie kroczy,
Wąsy kręci, coś myśli, i przymruża oczy:
„Andziu moja! Andziuniu... mój kwiatku kochany!“
Już mu przyszła myśl wreszcie, już spełni swe plany.
„Co rozkażesz mój ojcze?“ — Stary chciał coś prawić,
Lecz go kaszel natychmiast jakiś zaczął dławić,
I zaprzestał. — Znów milczał. — Chodził śród komnaty,
Anna milcząc, na płótnie nowe dzierga kwiaty.

Wtem, w drzwiach nagle się zjawił Mikołaj, gajowy,
Prawa ręka Starosty, gdy jedzie na łowy.
„Mikołaju! Co słychać? Ptactwo się zjawiło?“
W starym łowcu natchnienie nagle znów ożyło.
„Jaśnie panie!.. tok w pełni u nas nad Wieloną,
Tok, jakiego z lat wielu nie bywało pono!
Szesnaście mam kogutów na Nidwach pod borem,
A grają jak szatany, i w świt i wieczorem;
Budkę przygotowałem. Chwilkę nie zabawi,
Jaśnie pan im tam jutro dobrą łaźnię sprawi!“

Starosta wąs podkręcił — znać zadowolony —
Dzień zagłady cietrzewiom jutro przeznaczony;
Jednak myśl jeszcze nowa przez mózg jego leci,
Bo jakiś urok dziwny w licach jego świeci:
„Mikołaju! o świcie ja w budce zasiędę!
Niech w niej będzie wygodnie — nie sam może będę!“

Odszedł stary Mikołaj.... Starosta w milczeniu,
Rzekłbyś, plany znów kreśli w ciągłem zamyśleniu.
I rzekł: „Andziu!“ — „Mój ojcze!“ — „Czy nie masz [ochoty
Być mi jutro pomocą myśliwskiej roboty?
Świtem, na tok cietrzewi. Ujrzysz tam świat nowy...“
„Chętnie ojcze wraz z tobą pojadę na łowy!“

Ciemno jeszcze dokoła, a różana zorza
Od-wschodu już rumieni niebo nakształt morza.
Czarne bory litewskie snem spokojnym drzemią,
A mgły nocne nad niemi jak całun się dymią.
Cisza w koło. — Wtem pierwszy słychać jęk żórawia,
Haynał wiosny, — do życia on przyrodę sprawia.
Potem kszyk wzleciał z bagna w przeczuciu poranka,
I tę ciszę przerywa beczeniem baranka.
Skowronek, Matki Boskiej śpiewak niestrudzony,
Wznosi hymn dla Królowej Polskiej na wsze strony.

Nad Wieloną, na łące, Mikołaj gajowy
Budkę dobrze urządził, gdzie tok cietrzewiowy.
Starosta ze swą Andzią w budce zdawna siedzi,
Łowczem uchem tych głosów przyrody wciąż śledzi.
Przed budką się rozciąga łąka na morg blisko,
Wypatrzone cietrzewi jest to tokowisko.

Ciemno jeszcze. — Szum słychać, jak owadów stada,
To szum skrzydeł cieciorki, co przed budką spada,
Tuż blisko! — To cieciorka niewinna i młoda,
Którą w pełni tak ptasia otacza uroda.
Niewinna — po raz pierwszy wyleciała z boru,
Rzekłbyś, że z cietrzewiego tu przyszła klasztoru.
Zdaje się tak przelękłą - sama nie wie tego,
Niby mówi: „Tak pragnę!... Sama nie wiem czego?“
Znowu słychać szum skrzydeł, i jak z gór kaskada,
Ciemny cień przy cieciorce tuż na łąkę spada.
To jakiś czarny rycerz; przy oczach korale,
Ogon wzniósł na kształt liry, i kroczy w zapale,
Zasyczał na kształt węża, skrzydłem ziemię orze,
I śpiew jego miłośny wnet się rozległ w borze.
„Glu-glu-glu“ i znów syczy, w szał miłośny wpada,
Ona, z razu strwożona. już go słucha rada,
On przysięgę jej składa, że ona jedyną
Serca jego wybraną na wieki ptaszyną,
Że chce być jej obrońcą, i tarczą, i sługą,
Że nie spojrzy już w życiu na cieciorkę drugą.
I co dalej jej prawił, wy panowie wiecie,
Coście nieraz tę rolę już grali na świecie;
Słowem, śpiewał, co każdy swej przyszłej ślubował,
Co mąż każdy przyrzekał — żaden nie dochował.
Nie dziw, w młodej cieciorce wzbudził serca bicie,
W szale rzekła: „Jam twoją!... Kocham cię nad życie!“

Pan Starosta w tej chwili, w myśliwskim zapale,
Na tę scenę miłośną nie zważając wcale,
Wprost ze swojej rusznicy do koguta mierzy;
W pierś rycerza ołowiu zaraz grad uderzy.
Andzi serce tak bije!... Patrzy się i dziwi...
Krzykła: „Ojcze!... nie strzelaj! oni tak szczęśliwi!..“

Na ten okrzyk, ptaszęta furknęły skrzydłami,
I znikły w czarnym borze gdzieś między sosnami.
Starosta nie mógł strzelić, lecz się nie zasmucił,
Na swą Andzię serdecznem tylko okiem rzucił.
Choć się łowy zepsuły, dusza jego rada,
Czuł, jak mu kamień ciężki nagle z serca spada.
Zwolna swojej rusznicy tylko spuścił kurki,
I złożył pocałunek na czole swej córki.
Cietrzew, choć retoryki pewno nie rozumiał,
Lepiej wszystko od niego wytłumaczyć umiał.

Leopold Starzeński.

Kangur, jako zwierz łowny w Europie środkowej.

Z pewnością po pierwszy raz strzelano w kniei europejskiej do swobodnie żyjącego w niej mieszkańca południowej półkuli; przed kilku bowiem miesiącami ubito — jak o tem donosiły dzienniki — w lasach wyżyny Eifel, w krainie nadreńskiej, k a n g u r a. Australskie to zwierzę, zupełnie zdrowe i łojne (tłuste), pochodzić miało z niewielkiego stadka, które przed trzema laty br. Böselager do Europy sprowadził, i do lasów koło miasta Bonn wpuścił. Stadko to wydało od tego czasu już dwa zdrowe pokolenia i dwie zim przetrwało nad Renem, sztuka zaś, ubita wraz z drugą, odbitą została od stada przez psy kłusownicze i zapędzona w ową okolicę.

Jedna z gazet niemieckich, podając ten fakt, uważa go jako dostateczny do udowodnienia możliwości aklimatyzowania kangura w Europie środkowej. Prawdopodobnie, — bo zpewnością tego powiedzieć nie mogę — kangur wspomniany jest tak zwany przez zoologów k a n g u r w i e l k i lub c z e r w o n y *(Macropus major v. giganteus,* także *Halmaturus giganteus).* Zwierzę to utrzymują prawie wszystkie ogrody zoologiczne Europy, miano zatem sposobność prze-

konać się, że żyje ono długo, bo nawet lat 15 w niewoli, że jest bardzo łatwe do wyżywienia, że się godzi z różnorodnymi stosunkami klimatycznymi, jakie w ogrodach zoologicznych miast europejskich znajduje, a wreszcie, że na niską temperaturę jest nadzwyczaj wytrzymałe, nie potrzebując w porze zimowej szczególniejszej ochrony i ogrzewanej stajni. Próby przyswojenia kangura nie wydały natomiast prawie żadnych rezultatów, co niezawodnie wprowadziło wspomnianego br. Böselagera na myśl traktowania go jako zwierzę łowne.

Fakt podany niezawodnie ciekawym jest dla świata łowieckiego w szczególności, jednak nie ośmieliłbym się z tego pojedyńczego zdarzenia wnioskować, iż wystarcza ono do udowodnienia możliwości aklimatyzacyi kangura, jako zwierzęcia łownego w Europie środkowej, ba, nawet gdybym na podstawie tego faktu uwierzył wreszcie w możliwość tę w zachodniej Europie środkowej, to nową wątpliwość dla krajów wschodniej Europy środkowej zrodziłby pobieżny bodaj rzut oka na linię (izohimenę), przebiegającą przez miejscowości o równej średniej temperaturze zimowej.

Kwestya aklimatyzacyjna tak okazałego, bo 5 stóp bez ogona mierzącego zwierza, o wadze przeszło 100 klgr., którymby ubogi w gatunki zwierzostan Europy mógł być wzbogacony, jest o tyle ważną, iż daruje mi kilka chwil cierpliwości łaskawy czytelnik, gdy się choć pokrótce zatrzymam nad przyrodą i zwyczajami tego zwierza, niemniej pociągnę pobieżną paralelę pomiędzy stosunkami przyrodniczemi jego ojczyzny, a tem, czem mu Europa służyć może.

To pewna, że zwierz tak okazały, nawet w razie udanej aklimatyzacyi, wyjątkowo tylko znajdzie w Europie odpowiedni dla siebie teren, że w zwierzyńcach utrzymanie jego z wielkiemiby było połączone trudnościami, bo ogrodzenia 3-metrowe z łatwością przeskoczy, i że utrzymywany na wolnych obszarach, stać się może, jako wyłączny roślinożerca, powodem szkód. Są wszakże w Europie jeszcze położenia i kompleksy wielkie, gdzie tak wielka zwierzyna, dająca wyśmienite mięso a wyborne futro, mogłaby się pomieścić.

O szkodzie, jakąby kangur w Europie wolno żyjący mógł wyrządzić, trudno jest mówić, nie mając żadnego w tym względzie doświadczenia, z podań zaś naturalistów wnioskować można, iż byłby mniej szkodliwym niż nasze sarny i zające, pożywając głównie trawę i liście, a tylko w braku tychże korę drzew, pączki i owoce. Czyby wszakże, wśród innej zupełnie roślinności i wśród innych stosunków klimatycznych, i gust jego się nie zmienił, o tem nic powiedzieć się nie da.

Przymioty kangura, w połączeniu z jego potężnym wzrostem i siłą, stanowią również ważną stronę dodatnią, jeśli go będziemy uważali jako zwierzę łowne. Wiadomo bowiem, że ochrona naszej rochmannej zwierzyny jakoteż zajęcy przed niszczącem działaniem rozmaitego rodzaju drapieżników, należy może do najtrudniejszych zadań łowiectwa, a nie powiem za wiele, twierdząc, iż we wielu miejscowościach, uposażonych bogato od przyrody w wszelkie warunki, zwierzostan, pomimo usilnych starań ze strony właściciela, nie udaje się jak należy, co więcej, całe rewiry zostają zupełnie opustoszone, a człowiek na razie w walce z temi wrogami czuje się bezsilnym. Chcąc skutecznie pokonać owe zgubne działania uznanych ze bezwzględne szkodników, musi im być wypowiedzianą wojna na całej linii, a ustawa łowiecka powinna kategorycznie zmusić do tępienia tychże.

Lecz wszystkim owym szkodnikom, dozwalającym nam w porze obecnej tylko w małej części korzystać z fauny łowczej, urąga niezawodnie kangur, ów największy ssak Nowej Hollandyi. W razie zbyt śmiałego napadu, broni on się do upadłego, a nawet w walce z psami, jak to podają zoologowie, pozostaje częstokroć zwycięzcą.

Tego króla zwierząt owej piątej części świata, zaliczyli naturaliści do rzędu torbaczy *(Marsupialia)*, a do familii roślinożerców *(Phytophaga)*. Wagę dorosłego zwierza podają na 75—100 klg., a różnice te odnoszą się do obu płci, samice bowiem są o wiele mniejsze. Całe zwierzę porośnięte jest gęstym, gładkim i miękkim włosem wełnistym, a barwa jest trudną do określenia, podobnie jak u naszego zająca; są to delikatne połączenia wielu miłych dla oka odcieni barw brunatnych i siwych. James Cook, dotknąwszy w roku 1770 wschodniego wybrzeża, dotąd prawie nieznanego lądu, odkrył zarazem zwierzę to na tymże wybrzeżu Australii w dzisiejszej Nowej południowej Walii, i zatrzymał nazwę jego krajową, która przeszła następnie do zoologii. Słaba zdolność rozmnażania się tego zwierza, rzadko bowiem więcej jak jeden płód wydaje, niemniej ciągłe prześladowania, jakim ulega dla swego doskonałego futra a jeszcze lepszego mięsa, osobliwie po zjawieniu się kolonistów i broni palnej, wyniszczyły go na wybrzeżach, a byłby uległ może wyniszczeniu zupełnemu, gdyby go nie skryły stepy i niedostępne gąszcze wewnątrz kraju, dokąd schronił się wobec ciągłych prześladowań. Żyje on tam w gromadkach niewielkich, które, idąc za żerem, rozchodzą się, aby znów się zgromadzić w miejscach obfitych żerowisk.

Z natury jestto zwierz nadzwyczaj płochy i bojaźliwy, a przymioty te stają się może powodem, iż w żaden sposób ułaskawić się nie daje. Budowa jest co najmniej niezwykłą, a na pierwszy rzut oka wskazuje, że zwierzę to li tylko do skakania jest zorganizowane. O ile powolny ruch przy malutkiej główce, króciutkich odnóżach przednich i wogóle szczupłym bardzo przodzie a niezwykłym rozwoju części tylnej ciała, w szczególności odnóży tylnych, jest właściwie jakimś niezgrabnem łażeniem — wobec czego nasz zając jako znakomitość w chodzie uważanym być może — o tyle w skoku kangur niezawodnie do najszybszych zwierząt należy. Opatrzony silnemi ścięgnami staw skokowy i długie odnóża tylne, przy pomocy muskularnego grubego a 4 stóp długiego ogona, umożliwiają skoki 6—9 metrowe, na wysokość do 3 metrów. Posuwanie się takie, wielce wytrwałe, bo kangur całemi godzinami skakać jest w stanie bez umęczenia, a przesadza z lekkością wszelkie przeszkody terenu, czyni to zwierzę tak szybkiem, że nie ma psa i konia, któryby mógł mu wydołać. Jak u wszystkich zwierząt płochych, tak i u kangura słuch stoi na czele zmysłów, to też bezustannem strzyżeniem uszu zdradza z jednej strony doskonałość tego organu, z drugiej płochość, w którą byle ptaszek wprawić go może.

Reszta zmysłów nie zasługuje na uwagę, a wyobrażenie przyrodników o zdolnościach umysłowych kangura jest niekorzystne. Ma on być bardzo nieostrożny, zapominający się i głupio ciekawy.

Niemniej oryginalnym jest kangur w rozmnoży. Po krótkiej, bo tylko 40 dni trwającej brzemienności, przychodzi już płód na świat. Po urodzeniu, matka pyskiem chwyta go i wsadza do worka, utworzonego z fałdów skóry na brzuchu, pod temi zaś fałdami znajdują się sutki, napełnione naówczas pokarmem.

Nowo urodzony kangur mierzy zaledwo 3 centymetry długości, (niemal tej wielkości jest embryo człowieka w drugim miesiącu brzemienności), a krótki peryod życia embryonalnego w łonie matki, zamienia teraz na życie a właściwie

na wegetacyę w worku brzusznym. Twór ten jest jeszcze zupełnie niewykształcony, w tkankach przeźroczysty, miękki i galaretowaty, oczy ma zamknięte, uszy i nos zaledwo oznaczone, a odnóża przeciwnie, jak u zwierząt dorosłych, przednie dłuższe od tylnych. Twór taki wisi przy sutce bez dostrzegalnego ruchu, a mleko z nabrzmiałej pokarmem piersi samo do gardła mu się wlewa. Ssanie to trwa 8 miesięcy. Po upływie tego czasu młode coraz więcej innych pokarmów pobierać zaczyna, pozostaje jednak jeszcze długo przy matce i pod ciągłą jej opieką.

Ze wszech miar dziwne to i oryginalnej przyrody zwierzę, posiada niemniej oryginalną ojczyznę. Australia, położona mniej więcej pomiędzy 10 a 40^0 geograf. szerokości, w swej środkowej i południowej części na działanie pasatów południowo-wschodnich wystawiona, posiada w ogóle klimat suchy, a opady atmosferyczne ograniczają się na kilka razy do roku powtarzające się zlewy, istne potopy, podczas których, według robionych doświadczeń, opada nieraz w $2^1/_2$ godzinach 269 mm. wody, czyli około $^1/_4$ części całorocznego opadu. Dodawszy do tego, iż z małym wyjątkiem prawie cały kraj przedstawia płaszczyznę o bardzo małym spadzie, wyobrazić sobie można skutki owych kaprysów klimatu. Raptowne zalewy ogromnych powierzchni stały się powodem niejednego unieszczęśliwienia ekspedycyj, udających się w celach badawczych do wnętrza kraju, a podróżnik Warburton, zaskoczony w swej wyprawie taką powodzią, temi słowy opowiada skutki tejże:

„Suche dno jeziora Eyre, w miejscu gdzie wpływa do niego rzeka Barku, leżało przed nami, straszne swą grobową ciszą, straszniejsze jeszcze ogromem i niczem nieprzerwaną pustynią. Postawienie nogi na dnie tego jeziora byłoby zarazem pożegnaniem się na zawsze z gronem żyjących istot“.

Ziemia, przed temi zlewami długo trwającą suszą stwardniała, rozmiękcza się do stanu nieprzebytego, a jeżeli nie uniemożliwia, to niesłychanie utrudnia pochód. Okoliczność ta niejedną karawanę wystawiła na śmierć głodową wobec ubogiej przyrody australskiej.

Krom tych trudności kładzie w drodze i dziwna wegetacya tej krainy nowe przeszkody. Jestto tak zwany „skrub“, t. j. gęszczaki, utworzone z krzaczystych Proteaceów i z rodzaju wrzosów równie krzaczystych *(Epacrideae)*, w których dla pochodu muszą być ulice przerębywane. Przecudnemi kwiaty zdobne te rośliny, utrzymywane w pojedyńczych okazach i w Europie, stają się tu, przez swe bujne występywanie, prawdziwą plagą. Korzysta z cienistych owych gąszczaków kangur, kryje się w nich przed spieką i w razie grożącego niebezpieczeństwa, a dla wygodnej komunikacyi przegryza w nich formalne ulice.

W miarę, jak teren się zniża, zmienia się charakter roślinności; w obłokach kołyszą swe wierzchy 150 metrów wysokie Eukalyptusy, tworząc li tylko gaje z rzadkiem rozsiedleniem drzew, a bynajmniej nie zwarte drzewostany; grupami pojawiają się drzewa trawiaste *(Xanthorhoea* i *Kingia)*, wreszcie i te pniowe rośliny przechodzą w bezpniowe odmiany *(Xerotes* i *Dasypogon)*, a dalej otwiera się step, tu i owdzie pustynią będący. W całej Australii nie znajdzie lasów w ścisłem tego słowa znaczeniu; są tu albo gaje albo opisany „skrub“.

Rzadko rozsiedlone drzewa australskie, między któremi warto wspomnieć o dziwnych Kazuarynach, stojących niby olbrzymie skrzypy, bez liści, i o rodzajach innnych, u których liść prostopadle swą powierzchnią względem ziemi się układa — nie użyczają ziemi w czasie upałów prawie żadnego cienia. To też, gdy ziemia ta niezacieniona, po peryodycznem nasyceniu się wilgocią, wyda bujne trawy, niszczy je łatwo i do szczętu następna długotrwała posucha.

W takich wypadkach kangur odbywać musi dalekie za żerem wycieczki, a kto wie, czy i tak zdołałby się utrzymać w walce o byt w tym zawodnym klimacie, gdyby nie szczególna organizacya jego. Gdy zaś dodamy do tego, że niemal całą Australię charakteryzuje brak wody wogóle, a w szczególności wody do picia, to z pewnością nie do pozazdroszczenia wyda nam się owa daleka ojczyzna kangura, i tem łatwiej da się pojąć, dlaczego on i w zmienionych stosunkach prosperuje.

Praktyka, niemal tak stara jak i historya ludzkości, dowiodła, że wiele organizmów li tylko przenieść należy w inne geograficzne położenie, w odmienne stosunki, aby je bez dalszych trudności zaaklimatyzować; niemniej pewnym jest i ten objaw, iż geograficzne rozprzestrzenienie się organizmów w stanie natury, nie zgadza się prawie nigdy z granicami możliwej tych organizmów egzystencyi, z wyjątkiem tych nielicznych, które wymagają koniecznie specyalnych warunków swej ojczyzny, zakreślonych rodzinną ich przyrodą. Warunków specyalnych nie stanowi tu najczęściej żywność, osobliwie u roślinożerców, lecz dyktuje je sama atmosfera, jej ciepłota i zawartość pary wodnej, a subtelna nieraz różnica stosunkowego składu atmosfery zakreśla na globie ostrą linię ojczyzny pewnego organizmu, której mu bez szkody przekroczyć nie wolno. Przeciwnie, jeżeli organizm godzi się tylko ze stanem atmosfery i klimatu, do którego przeniesiony został, to najprawdopodobniej i kwestya wyżywienia nie przedstawi wielkich trudności w aklimatyzacyi. Do takich organizmów zda się należeć i kangur, a to na podstawie bardzo licznych doświadczeń ogrodów zoologicznych, niemniej na mocy nowego doświadczenia br. Böselagera.

Jest rzeczą doświadczoną na polu aklimatyzacyi, iż udaje się ona najlepiej, jeżeli przenosimy organizmy z klimatu cieplejszego do zimniejszego, a przyczyną tego objawu zda się być okoliczność, iż wysoka temperatura i przesycona parą atmosfera, pobudzająca nadzwyczaj bujne życie organizmu, wywołują także i niszczyciela tegoż bardzo energicznego w postaci niedostrzegalnych organizmów, które, znajdując wielką odporność w faunie i we florze rodzimej, rzucają się na świeżo przeniesione organizmy stref innych i znajdują tu niejako świeżą dla siebie glebę, którą wyzyskują z całą zaciętością. Inaczej mówiąc, występują w takich razach rozmaitego rodzaju choroby aklimatyzacyjne, pożądając dla siebie wielkich częstokroć ofiar. Strefa zimna również niekorzystnie działa na ustrój organiczny innych podniebi, jednak działanie to jest innego rodzaju; nie ma tu miazmatów i bakteryj, a natomiast pojawiają się zapalne choroby, cierpienia organów oddechowych pod wpływem niskiej temperatury i odmiennego składu atmosfery.

Zaraza, miazmaty i bakterye, to najstraszniejsze przeszkody w kulturalnym pochodzie ludzkości w strefach podzwrotnikowych, w owych błogosławionych zresztą krajach, gdzie wśród najrozkoszniejszej przyrody i wśród najcudniejszego kwiecia, wylęga się robak zniszczenia dla przybyszów z dalekich stron globu. Niezliczonych ofiar wymagają złośliwe febry Panamy i Ecuadoru, ospy i malarye Brazylii, żółtaczki i choroby umysłowe pomiędzy ludnością negrów Indyj zachodnich, cierpienia wątroby, czerwonka i t. p. Afryki, cierpienia śledziony, ospa, cholera Indyi wschodnich i t. p.

Wpływ klimatu podzwrotnikowego Ameryki jest o tyle zgubnym dla Europejczyka, iż krajowcy patrząc na czerstwą twarz przybysza, groźnej treści wygłaszają proroctwo: *Deja le, luego caera* (zostaw go, prędko się zmieni), a Wielka Brytania, zastraszona ogromną śmiertelnością wojsk swych w Indyach wschodnich, zmuszoną była pułki wysyłane tamże aklimatyzować stopniowo, stacyonując je na pewien czas w portach morza Śródziemnego i Czerwonego.

O wiele inaczej mają się rzeczy w Australii. Klimat ów suchy i atmosfera w ciągłym ruchu, skutkiem wspomnianych wiatrów stałych, dozwalają Europejczykom osiedlać się swobodnie, co więcej, nowi przybysze nie ulegają nawet tym chorobom, które dziesiątkują ludność miejscową i każą jej powoli wymierać. (Ostatni Tasmańczyk umarł w r. 1869). Niemniej aklimatyzacya naszych zwierząt i roślin doprowadziła tam do świetnych rezultatów, a po dziś dzień wzbogaconą jest uboga przyroda tego kraju wieloma rodzajami, że wspomnę tu tylko o jeleniu, zającu, przepiórce, skowronku, drozdzie, ziembie, pszczole, o wielu roślinach rolnych, o owocowych drzewach strefy naszej, a wreszcie o chwastach, które przypadkowo tam się dostały. Podczas, gdy w krajach tropikalnych, nawet po udanej aklimatyzacyi, płodność organizmów się zmniejsza, objawu tego niepodobna dostrzec w Australii, co również wskazuje, iż klimat odległej tej wyspy nie działa osłabiająco na nowo wprowadzone organizmy. Wszystko to przemawia za tem, że odwrotnie do jeszcze szczęśliwszych rezultatów doprowadzićby mogła aklimatyzacya zwierząt australskich w Europie, już z tego względu, iż ze wszech miar korzystny warunek, to jest przejście z klimatu cieplejszego do zimniejszego, ma tu swe zastosowanie, do czego przy kangurze jeszcze i tę dodać należy okoliczność, że ma się tu do czynienia z wyłącznym roślinożercą, który doskonale niską temperaturę znosi.

Kwestya wyżywienia, zda mi się, nie powinna szczególniejszych rodzić kłopotów. Zwierz roślinożerczy, raz aklimatyzowany, potrafiłby z miejscowej roślinności wybrać odpowiednie składniki pożywienia, a wegetacya całego globu urabia zawsze owe niezbędne dla organizmu zwierzęcego składniki, które do budowy ciała i rozmaitych jego funkcyj są niezbędne. Że zaś kangur żadnych w żywności specyalnych warunków nie wymaga, o tem dostatecznie pouczyły liczne doświadczenia.

Widzę sam, że skreśliwszy dotychczas tylko szczerą prawdę, bez przesady, oparty na doświadczeniu i prawdopodobieństwie, zanadto do optymistycznych doszedłem wyników, i już majaczy mi się w wyobraźni ogromny kangur, zaludniający nasze rodzime „skruby“... Ale wtem zła myśl przyszła mi do głowy, przypomniałem sobie ze smutkiem ową, na początku już wspomnianą, linię, przypomniałem ze smutkiem, i jak mgła rozpierzchł się piękny obrazek fauny australskiej. Nieszczęsna owa linia, przechodząca przez krainę nadreńską, a oznaczająca 0° R. średniej temperatury zimy, opada raptem ku południowi, a ciągnąc się na wschód i poniżej Wiednia, prawie w linii prostej, dotyka Krymu i połowi jezioro Kaspijskie. Linia zaś łącząca miejscowości 0 do 5° R. temperatury średniej zimy, a raczej stycznia, ciągnie się wzdłuż równiny Sarmackiej i poucza nas, że temperatura zim naszej ojczyzny stoi na równi z temperaturą zim północnej Norwegii. Pomimo zatem, że żyjemy niemal pod jednym równoleżnikiem geograficznym z krainą nadreńską, zimy nasze różnią się o 5 stopni co do średniej temperatury, a różnica ta, jak ołów ciężka, fatalnie waży na szali aklimatyzacyi kangura.

W króciutkiej pracy niniejszej starałem się bodaj pobieżnie zestawić szanse i możebne zawody, przedstawiające się przy aklimatyzacyi tego zwierza w Europie środkowej, niemniej pragnąłem wykazać zbytnią śmiałość wypowiedzenia o załatwieniu już niemal pytania co do aklimatyzacyi kangura w Europie środkowej, na podstawie doświadczeń ze stadkiem br. Böselagera. Jeżeli to wszystko przemówiło do przekonania łaskawego czytelnika, to celu dopiąłem, jeżeli zaś, co być może, znajdą się tacy, którzy zechcą spróbować aklimatyzacyi u nas, gdy szlachetne usiłowania ich uwieńczone będą skutkiem, gdy kangur przetrwa naszą zimę na wolności, a mroźny podmuch wschodu przy 20° R. zgęści o tyle jego piękne futerko, że się i tych wybryków kontynentalnego klimatu obawiać nie będzie, wtenczas ja uwierzę w zaaklimatyzowanie się tego skakacza w Europie środkowej, uwierzę, iż pod konstelacyą północnej niedźwiedzicy równie bezpiecznie żyć może w dalszych pokoleniach, jak dotychczas pod znakiem rodzinnego krzyża południowego nieba.

Władysław Spausta.

Z obcych światów.

Polowanie na jelenie kanadyjskie w Górach Skalistych.

(Podług relacyi Nellenburga).

Pośród całej zwierzyny, należącej do wyższych łowów, najwspanialszym, największym i najszlachetniejszym, jest jeleń kanadyjski czyli Wapiti *(Cervus canadensis)*. Przez to jednak, co powiedziałem, nie chcę bynajmniej innym odmianom jeleni ujmy czynić. Każde bowiem z tych zwierząt ma swoje wybitne własności i przymioty, które je tembardziej miłemi czynią dla myśliwca.

Co do ogromu, przewyższa Wapiti inne jelenie, co zaś do bystrości, podstępu i zręczności, dorównywa a nawet przewyższa wszystkie inne.

Sama już wielkość, jakoteż muskularna budowa jelenia kanadyjskiego, świadczą o wielkiej sile i wytrzymałości. Gdy się go ściga, potrafi bez jadła i napoju biec kłusem nawet 20 do 30 godzin. Z podziwienia godną zręcznością umie się wdrapywać na góry i skały, mimo swego ogromu i ciężaru. Można go często widzieć na jakiemś urwisku skały, przedzierającego się wśród krzaków lub kamieni. Drogę jednak wybiera sobie zawsze z pewnym namysłem i każdy mieszkaniec górski wie, że tropy jego znaleść można tylko w pewnej części gór lub skał. Podziwiać wypada jego zrę-

czność w przedzieraniu się nieraz wśród nieprzebytych prawie gąszczów. Jeśli się go nie śledzi i nie płoszy, przeskakuje lekko z urwiska na urwisko, z kamienia na kamień, jeśli się jednak trzodę „Wapiti“ zaniepokoi czemś lub spłoszy, to umyka ona mimo labiryntu krzaków i krzewów wprost przed siebie, a ziemia drzy wówczas, jak pod kopytami galopujących koni.

Zdarzyło mi się raz, iż stojąc na skraju jakiegoś gąszczu, usłyszałem zbliżającą się gromadę kanadyjskich jeleni, którą jeden z moich towarzyszy na przeciwnej stronie lasu spłoszył. Łomot i trzask, uderzanie rogami w gałęzie i konary drzew oraz parskanie zziajanych zwierząt, były wówczas tak silne, iż nieobeznanego z tem łatwo mogły przestraszyć i nakłonić do ucieczki. Mnie zaś, ponieważ nie opuściłem swego stanowiska, udało się ubić parę bardzo ładnych, rosłych jeleni.

Głos jelenia kanadyjskiego jestto dziwny jakiś ton, który właściwie trudno określić, i wątpię, czy ten, który zna go tylko z opisu, mógłby go, pierwszy raz słysząc, rozpoznać. Posiada on jakiś szczególny, sobie tylko właściwy dźwięk, który daremnie starałbym się określić. Tylko jeleń podobny głos wydaje ze siebie, a ma on jeszcze u różnych gatunków jeleni rozmaite odcienia, podobnie, jak głos ludzki. Zazwyczaj poczyna się jakiemś mruczeniem, podobnem do urywanego ryku krowy, następnie zaś przechodzi powoli w piękny melodyjny ton, który już to się podnosi, już to zniża, i często ginie gdzieś daleko wśród ciszy wieczornej. Głos ten najczęściej wydaje jeleń na bekowisku, na co mu łanie krótkim urywanym rykiem odpowiadają.

Gdy byłem w Górach Skalistych, w Wyoming, miałem sposobność polować tam na wielkiego jelenia kanadyjskiego. Wieczorem tego dnia ubiliśmy, o jakich 6 kilometrów od namiotu, łanię tego jelenia z jednym jelonkiem. Fotograf, który nam towarzyszył, był właśnie w obozie, i nimbyśmy go byli zdołali sprowadzić w celu zdjęcia fotografii z naszych zdobyczy, byłoby już zapóźno. Z drugiej zaś strony nie mogliśmy zwierzyny tak zostawić, ponieważ niechybnie narażoną była na pożarcie przez wałęsające się niedźwiedzie. Na mnie więc przypadł obowiązek zdobyczy naszej przez noc pilnować. Jakoż roznieciłem ogień, naciąłem sporą kupę gałęzi z pobliskiego drzewa na urządzenie posłania dla siebie, naniosłem dosyć drzewa do ognia, i urządziłem się tak, bym każdej chwili mógł zwierzynę ubitą przed żarłocznością niedźwiedzi bronić.

Przez całą noc prawie padał deszcz; nad ranem trochę się oziębiło. Deszcz zmienił się powoli w śnieg, który na cal prawie pokrył ziemię, niebo cośkolwiek się rozjaśniło i zaczęło szarzeć. Jodły, sosny, cedry i wszystkie inne drzewa i krzaki pokryte były białą powłoką, gdyż śnieg, spadając, natychmiast zamarzał na gałęziach.

Z brzaskiem dnia usłyszałem głos jelenia Wapiti; dochodził on mnie z pochyłości góry, natychmiast więc posunąłem się w tym kierunku. Strzelbę, przygotowaną do strzału, gorączkowo ściskałem w ręce. Gdy doszedłem do punktu, zkąd mnie głos dochodził, spostrzegłem trop wielkiego Wapiti, jego samego jednak nie było. Gdy jeszcze w tem samem miejscu szukałem zwierza, usłyszałem trochę wyżej, może o tysiąc kroków, powtórnie ten sam głos. Zdaje się, że zwierz nie zwietrzył mnie i nie uciekał przedemną, lecz błądził gdzieś, szukając łani; był to bowiem właśnie czas rui. Poszedłem znów dalej i dosięgnąłem tego punktu, skąd mnie głos po raz drugi doszedł, lecz przed sobą ujrzałem znowu tylko tropy. Trudno było wyszukać sobie wśród gąszczów taką drogę, by jelenia trzaskiem i łomotem gałęzi nie spłoszyć; nie mogłem więc tą drogą postępować, śledzenie zaś ciągłe było nadzwyczaj uciążliwe. Wreszcie usłyszałem lekki szmer i spostrzegłem opadający śnieg z cedrowego drzewa; wkrótce jednak znowu ucichło. Po długiej dopiero chwili udało mi się wśród gałęzi rozróżnić ciemnobrunatną sierć jelenia. Ze stanowiska mego wszakże nie mogłem ugodzić go śmiertelnie; zdawało mi się przeto, iż nawet strzelać nie warto. Trudno mi było jednak wśród takich warunków nie korzystać z okoliczności i zrzec się strzału. Bez dłuższego więc namysłu, strzeliłem. W tej chwili powstał nieopisany łomot, trzask i łoskot wśród krzaków, i natychmiast ujrzałem ogromnego jelenia, jak przez gąszcze sadził. Miałem już przygotowany drugi nabój, poprawiłem więc szybko pierwszy strzał. Kula ugrzęzła tym razem gdzieś w okolicy serca, jeleń nie mógł więc dalej uciekać, lecz stanął z wyciągniętą szyją, a ja wtedy jeszcze jednym strzałem skróciłem jego cierpienia. Stanąwszy po chwili nad rozciągniętym u stóp moich ogromnym zwierzem, czułem żal jakiś, iż tak wspaniałego króla puszczy pozbawiłem życia. Głowa jego zdobi teraz moją kancelaryę i należy do najwspanialszych i najpiękniejszych moich trofeów.

Podziwienia godne rogi mają następujące rozmiary: długość głównego pnia korony wynosi 145 cm., gałąź nadoczna $47^1/_2$ cm., druga gałąź $52^1/_2$ cm., trzecia 50 cm., czwarta $52^1/_2$ cm. Obwód róży wynosi 39 cm., a obwód gałęzi nadocznej u podstawy 19 cm. Rozwarcie zaś od jednego do drugiego końca obu głównych pni mierzy 150 cm. Są to największe i najpiękniejsze rogi, jakie kiedykolwiek w życiu mojem widziałem, a okazują dokładnie różnicę między rogami jelenia kanadyjskiego, który ma cztery gałęzie naprzód wysunięte, i rogami jelenia starego świata, który ma tylko trzy gałęzie naprzód się wychylające. Cały zwierz ważył najmniej tysiąc funtów.

Jelenie kanadyjskie należą do bardzo towarzyskich zwierząt. W zimie zwłaszcza spotykać je można w wielkich stadach. Jeszcze przed niewielu laty, nie należało wcale do osobliwości napotkać stado, składające się z pięciuset do tysiąca sztuk. Przez zbytnie jednak tępienie zwierza tego w ostatnich latach, doszło do tego, że dziś bardzo rzadko zaledwie spotkać można stado, składające się z 25 do 30 sztuk.

W jesieni roku 1879 towarzystwo złożone z trzech myśliwych polowało na jelenie kanadyjskie. Ponieważ jednak pobyt swój w górach przedłużyli aż do października, zaskoczyła ich niespodzianie zima i takie zamiecie śnieżne, iż śnieg zasypał wszystkie drogi i ścieżki tak, że nawet konie wśród zasp przebrnąć nie mogły. W takim stanie rzeczy myśliwi czekali jeszcze trzy dni, sądząc, że zamiecie śnieżne ustaną. Po jakimś czasie jednak pogorszyły się warunki powrotu zamiast poprawić, śnieg nie przestawał padać i położenie ich zaczynało już być niebezpiecznem. Zasoby, jakie myśliwi mieli ze sobą, były nadzwyczaj szczupłe, a nadto brak schronienia wśród ostro poczynającej się zimy na takiej wysokości w górach mimowoli nasuwał pytanie, czy i w jaki sposób mogliby się myśliwi z tych na około okalających gór, śniegiem okrytych, wydostać. Cała nadzieja była w tem, iż zostawią konie, a zrobiwszy sobie „narty“ (rodzaj butów o dużej podeszwie), przy pomocy których mogliby się łatwiej na powierzchni śniegu utrzymać, powrócą w doły. W tym wypadku wszakże niemożliwem było wziąć ze sobą tyle pożywienia, ileby im na kilka dni potrzeba było, a zaledwo w kilku dniach mogli dotrzeć gdzieś do mieszkań ludzkich. Ponieważ ostatecznie tylko ten rodzaj podróży pieszo okazywał się możliwym, zrobiono ze skóry ubitego dawniej je-

lenia jedną parę rzeczonych nartów. Szczęśliwym trafem zamieć chwilowo ustała i jeden z myśliwych przygotował się do drogi, aby w najbliższej okolicy poszukać za jeleniami, potrzebnymi dla skóry, a oraz dla pożywienia. Zaledwie dwa tysiące kroków uszedł, gdy natrafił na świeży trop całego stada jeleni, idących we wschodnim kierunku. Myśliwy puścił się za tropem i w niedługim czasie napotkał całe stado. Zwierzęta szły gęsiora pod przewodnictwem starego jelenia, który tak brnął w śniegu, iż mu zaledwie głowę tylko widać było. Reszta postępowała za nim; silniejsze naprzód, a słabsze utorowaną już drogą ciągnęły się powoli w tyle. Stado składało się z 37 sztuk. Myśliwy zbliżył się do nich blisko na sto kroków, a te wówczas, przestraszone, w olbrzymich skokach rozbiegły się na wszystkie strony. Gdy jednak spostrzegły, że z powodu zasp śnieżnych ucieczka byłaby niemożliwą, poddały się swemu losowi, skupiając się tylko koło swego przewodnika. Dla myśliwego, który dla skóry poluje, była to doskonała sposobność, aby wszystkie jelenie z jednego stanowiska wystrzelać. Nasz myśliwy wszakże nie zabierał się nawet do strzelania. On sam był pełen rozpaczy i szukał jedynie sposobu wydobycia siebie i swych przyjaciół z śnieżnego grobu w lesie. Nie wystrzelił przeto ani razu, lecz jak najśpieszniej powrócił do towarzyszy z oznajmieniem, co widział.

Zaraz po otrzymaniu tej wiadomości, zaczęli się myśliwi wybierać w drogę. Drobniejsze sprzęty i żywność i to tylko, co niezbędnie do podróży było potrzebnem, opakowano na koniach, resztę zaś, a mianowicie różne zbiory, jużto minerały jużto trofea myśliwskie, pozostawiono, zależało bowiem obecnie tylko na pośpiechu, by zdążyć za stadem jeleni i skorzystać z formalnego wąwozu, który przejściem swem wśród śniegów wydeptały. Mimo to była to bardzo ciężka i trudna podróż, i w ten tylko sposób myśliwi nasi podjąć ją mogli, iż sami szli, a konie za sobą prowadzili. Wreszcie dopędzili stado jeleni, ale podróż ta nużąca trwała dziewięć dni wśród rozmaitych nieprzyjemnych przygód, zanim nasi myśliwi dotarli do zabudowań ludzkich między górnym biegiem rzeki Yellowstone i jeziorem tego samego nazwiska. Tu znaleźli bardzo gościnne przyjęcie, i ztąd dopiero puścili się bez większych przeszkód w dalszą drogę.

Stado jeleni, dostawszy się nad rzekę, pociągnęło w innym kierunku i nasi myśliwi stracili je wtedy z oczu. Zapewne zwierzęta stały się później ofiarą chciwości tak białych jakoteż czerwonoskórych myśliwców.

Przykra to bardzo rzecz, że tak piękne i szlachetne zwierzę jak Wapiti, na zupełne dziś zatracenie, podobnie jak żubr, jest skazane. Rok rocznie coraz większe obszary górskich okolic zajmują osadnicy. Większa liczba tych osadników, to myśliwcy, którzy właśnie dlatego tu się osiedlają, aby się trudnić łowiectwem. Znaczna ich część poluje dla zysku, i handluje skórami ubitych jeleni. Również Indyanie czekają tylko, kiedy pierwszy śnieg w górach upadnie; wtedy bowiem, gdy się jelenie w stadach trzymają, łatwo na nie polować. A często zdarza się, iż nim się jeszcze biedne zwierzęta zgromadzą w stada, już się ich skóry suszą po szopach łowców.

Ta nierówna, jednostronna walka, to bezlitośne tępienie bezbronnych zwierząt, nie może wiecznie trwać, a właściwie już dawno powinno było ustać. W tych górskich okolicach, gdzie przed niewielu laty można było spotkać stado z pięciuset sztuk złożone, ma sobie dziś myśliwy za wielkie szczęście, jeżeli uda mu się napotkać gromadkę z 10 lub 12 sztuk. Najczęściej wszakże zdarza się, iż myśliwy i cały tydzień błądzi a nie natrafi ani na jednego jelenia.

Wszystkie państwa i kraje mają ustawy łowieckie, które przez jakiś czas w roku zwierzynę bić zabraniają; tam jednak praw tych nikt się nie trzyma, są one martwą literą, a wstrętne i nierozumne tępienie jeleni nie schodzi z porządku dziennego. Przeł. *J. St.*

KRONIKA.

Na niedźwiedzie wyjeżdżali w drugiej połowie lutego b. r. z Petersburga bar. Ludwik Aerenthal, sekretarz legacyjny hr. Paweł Esterhazy, hr. Ferdynand Buquoy i hr. Leopold Nostitz. Łowy odbywały się w gubernii Nowogrodzkiej, koło miejscowości Chocza. Dnia 19 lutego ubił małego niedźwiadka, ważącego 40 kilogramów, hr. Nostitz. Dnia następnego, niedaleko Berezyny, położył hr. Buquoy niedźwiedzicę ważącą 72 kilogramów i dużego mysia, który 160 kilogramów ważył. Jeszcze większego, bo 192 kilogramów ważącego niedźwiedzia ubił dnia 21 lutego hr Nostiz, a dnia 22 hr. Esterhazy niedźwiedzicę o 72 kilogramach wagi. Obie te sztuki były niemal całkiem czarne. W kilka dni później polowali w tych samych okolicach jeszcze raz hr. L. Nostitz i hr. E. Wolkenstein, i położyli starą niedźwiedzicę, ważącą 88 kilogramów, z dwoma piastunami, z których jeden 40, a drugi 32 kilogramów ważył.

W dobrach Nieświezkich u ks. Antoniego Radziwiłła ubito w ubiegłym sezonie myśliwskim 15 niedźwiedzi, nadto zabrano w trzech gawrach żywcem 8 niedźwiadków. Ks. Hugo Windischgraetz, który brał w tych łowach udział, położył trzy niedźwiedzie, a pięć młodych niedźwiadków przywiózł ze sobą do Wiednia. Na jednem z ostatnich polowań znajdował się w niebezpieczeństwie życia syn księcia Raciborskiego, będący między zaproszonymi gośćmi. Niedźwiedź, którego zranił strzałem, rzucił się na niego i poszarpał mu lędźwie, zanim inni myśliwi zdołali go dobić. Myś ten, którego skórę książę Antoni Radziwiłł na pamiątkę bolesnej przeprawy księciu Raciborskiemu ofiarował, ważył po wypatroszeniu 300 funtów.

Ród jeleni wyradza się w Niemczech do tego stopnia, że zaczęto myśleć o zapobieżeniu zupełnej jego degeneracyi przez krzyżowanie z jeleniami karpackimi z Węgier. Próby te robiono w rewirach księcia Schaumburg-Lippe w Bückeburgu, i to, jak donoszą, z tak dobrym skutkiem, że cesarz Wilhelm II. sprowadził z Bückeburg 21 sztuk rozpłodowych jeleni do kniei swej w Zehdenick w tymże samym celu.

Z pod Preszburga wysłano również w pierwszej połowie marca 60 żywych łań na polecenie W. księcia Mikołaja do Berjon na Kaukazie, celem puszczenia ich wolno w tamtejszych rewirach łowieckich W. księcia. Łanie te wyszły z Wiednia w 60 drewnienych klatkach na ośmiu wagonach do Odessy, ztamtąd zaś na trzech statkach do Batum, skąd już na miejsce przeznaczenia zostały przetransportowane.

Jelenie wirginijskie zostały aklimatyzowane w Dolnej Austryi, jako zwierzyna łowna. Dzięki usiłowaniom hr. Breunnera utrzymują się one w kniejach w Grafenegg. W ostatnim sezonie myśliwskim wyprawiono tamże na jelenia wirginijskiego łowy, w których brali udział arcyks. Ferdynand, ks. Auersperg, hr. Coudenhove, hrabstwo Breunner i inni, i ubito trzy sztuki.

Liczbę wilków, grasujących w Rosyi, oceniają urzędowe sprawozdania na 170.000. Szkoda, którą te drapieżniki wyrządzają przez pożeranie owiec, bydła, nierogacizny, jest bardzo znaczną. W roku ubiegłym ubito w jednej prowincyi Wołogdzie 49.000 wilków, w gubernii kazańskiej 31.000. Za każdą sztukę zabitą płacił rząd nagrody 10 rubli. W tymże roku zapisała statystyka 203 osób, jako rozszarpanych przez wilki.

Ofiary zwierząt drapieżnych w Karpatach liczą się na tysiące. Pan Edward Egan, szef sekcyi dla chowu bydła w ministerstwie węgierskiem, obliczał w niedawno wygłoszonym odczycie, że na samychże węgierskich stokach Karpat ginie jeszcze teraz rok rocznie pod zębami niedźwiedzi i wilków około 3—4000 sztuk bydła rogatego, a 15--20.000 sztuk owiec.

O kolonii kangurów w Heimerzheim w prowincyi nadreńskiej, ogłosił właściciel jej bar. Filip Böselager sprawozdanie, w którem między innemi czytamy, co następuje:

„Kangury moje stają się coraz płochliwsze i ostrożniejsze. W pierwszym roku widywano je często, zeszłego roku tylko młode, a teraz trudno już czy to starego czy to młodego kangura zobaczyć. Przy polowaniu z nagonką w listopadzie (1889) pojawiły się kangury we wszystkich pięciu po sobie następujących miotach, w jednym z miotów aż troje razem. W szóstym miocie widziała nagonka także jednego kangura; dalej zaś, w miejscach, gdzie się karmę zwierzynie podaje, nie pozwalałem już gonić. Jednego kangura, samca, znaleziono nieżywego. Był już tak zepsutym, iż trudno było orzec, z jakiego powodu zginął. Ponieważ jednak niedaleko od tego miejsca znaleziono farbę na tropie sarnim i postrzelonego zająca, przypuszczam, że kangur stał się także ofiarą strzałów kłusowniczych.

„Ostatniej zimy podawałem kangurom na karmę kasztany. Zrazu nie tykały ich, później wszakże pożerały je chciwie, a nawet dawały im pierwszeństwo przed inną karmą. Odżywiwszy się, nie odwiedzały już żerowisk tak często.

„Obecnie mam znowu młode kangurki. Jeden z nich, sądząc po wielkości, mógł dopiero przed 4 do 6 tygodniami porzucić worek matki, a że sam chodzi, przypuszczam, iż stara ma już nowe młode we worku. Przed kilku dniami widział jeden z mych strzelców kangurzycę ze sporem już młodem we worku. Czy obie te stare kociły się już w roku ubiegłym, nie wiem, i nie mogę wogóle oznaczyć, jak wiele kangurów mam obecnie w mej kniei. Będzie ich z pewnością 6 do 7, jeśli nie dwa razy tyle. Nawet po tropach na śniegu nie da się cyfra dobrze oznaczyć, gdyż niepodobna wiedzieć, czy to jeden kangur dwa razy przeszedł przez drogę lub dwa kangury razem, albo nawet dwa kangury w jedną stronę, a inne dwa w drugą. Jeżeli się sprawdzi, że i w Eifel (gdzie, jak wiadomo, jednego kangura ubito), osiedliło się stadko, to będzie u mnie mniej kangurów, gdyż tamte mogą jedynie z Heimerzheim pochodzić. To jednak pewna, że mamy już ród aklimatyzowanych kangurów, który się szybko i pewnie rozmnaża".

Dresury białych niedźwiedzi, uważanej dotychczas za niepodobną, dokonał w tym roku właściciel menażeryi J. Ehlbeck z sześciu niedźwiedziami, i to w stosunkowo krótkim czasie dwumiesięcznym. Niedźwiedzie we wspólnej siedmiometrowej klatce skaczą przez baryery i obręcze, strzelają z pistoletów i wykonują inne tym podobne ewolucye.

Tygrysy w Anamie. Pomimo wszelkich środków, przedsięwziętych dla tępienia tygrysów w Anamie, liczba ich wzrasta ustawicznie. Suma ogólna premij, wypłaconych w r. z. za zabicie tych dzikich zwierząt, wynosi nie mniej, jak 10.000 fr. Za każdego tygrysa ubitego protektorat francuski wypłaca 20 piastrów, a dla zapobieżenia oszukaństwom, pieniądze te wręcza się dopiero, gdy myśliwy przedstawi szczątki zwierzęcia. Najwięcej tygrysów jest w prowincyi Phu-Yen, znajdują się też w wielkiej liczbie w Nghean i Hatinh. W niektórych stronach obawa przed tym krwiożerczym zwierzem jest tak wielką, że za żadną cenę nikt tępić go nie chce. Anamici dla przypochlebienia się tygrysowi i pozyskania jego łask, wznieśli go niemal do godności bóstwa. Poświęcają mu pagody, obdarzają go tytułami i otaczają religijną niemal czcią. Rzadko bardzo poważają się stawić mu otwarcie czoło, natomiast czynią na niego zasadzki. I tak, na drodze, po której sądzą, iż będzie przechodził, wykopują olbrzymie doły, pokrywając je następnie suchemi gałęziami. Pod ciężarem tygrysa łamią się gałęzie, i zwierz wpada do jamy. Wówczas zbiega się cała wieś, uzbrojona w lance z bambusów i stare strzelby. Żgają obezwładnione zwierzę, miotając nań tysiące obelg i przekleństw, następnie skrwawione jego zwłoki niosą tryumfalnie do najbliższej rezydencyi władzy, dla otrzymania nagrody. Krajowcy, również jak i zwierzęta, czują z bardzo daleka obecność tygrysa. Skoro tylko posłyszą z oddali owo straszne: „kop! kop!" (głos wydawany przez tygrysa, od którego w języku anamskim nazwanym jest: *kop*), szerzy się nieopisany popłoch, Koń drzy, pokrywa się pianą, staje dęba i nie chce iść ani kroku dalej; psy z podwiniętymi ogonami kręcą się w kółko i wreszcie przypadają do nóg człowieka; krajowcy, tworzący eskortę, pozostawiają Europejczyków na pastwę srogiego nieprzyjaciela, a sami co tchu uciekają.

Tygrys nie znajduje pożywienia w lasach Anamu; zwierzyny tam mało. Najsmakowitszym dla niego kąskiem są dzikie pawie. „Gdzie tylko są pawie, tam jest i tygrys" — powiada miejscowe przysłowie. Nie poprzestając jednak na tem delikatnem pożywieniu, nocami wychodzi na żer, krąży wśród wiejskich zagród, z pod oczu przelęknionych pasterzy chwyta najtuczniejsze barany i wraca spokojnie do legowiska.

Osobliwych pasażerów przewoziła niedawno barka brytyjska „Margareth" z zachodniego wybrzeża Afryki do Bostonu. Ładunek barki składał się z 12 więźniów, 400 papug, orangutana, goryla, kilku innych małp oraz dwóch krokodyli. Szczury zjadły cały zapas ziarna, przeznaczony dla ptaków, tak, że wszystkie papugi wymarły. Podczas burzy węże i krokodyle wydostały się ze swoich skrzynek na pokładzie i wtargnęły na posłania majtków, których skutkiem tego musiano umieścić w kajutach. Gady toczyły nieustanną walkę ze szczurami i między sobą, dopóki ostatni krokodyl nie pożarł ostatniego węża, który wszakże został pomszczony, gdyż skrzynia spadła na krokodyla i zabiła go na miejscu. Podczas walki gadów, małpy powłaziły na liny okrętowe i żadną miarą zejść nie chciały, aż w końcu uniosły je fale z pokładu, gdzie pozostały tylko cztery. Najgorszym pasażerem jednak był goryl, mający pięć stóp wysokości. Pomimo, iż drewniana skrzynia jego była bardzo mocna, strzaskał wieko, wydostał się, i ku przerażeniu załogi chwycił drąg żelazny, którym zaczął wywijać na wszystkie strony, tak, iż pokład w jednej chwili został pusty. Pewnego dnia oskalpował na wpół kucharza, murzyna, i puścił nieboraka dopiero wówczas, gdy padł pod ciosami siekiery. Pazury goryla wszystkim dały się we znaki, a załoga barki przez całą drogę ani na chwilę nie była pewną życia.

Nasze śpiewające ptaki aklimatuzują się wybornie w Ameryce północnej. W Portland, w Oregonie, wypuszczono 22 maja zeszłego roku wiele drozdów, kosów, ziemb, skowronków itd. W jednej chwili oswoiły się one z swem położeniem, śpiew ich słychać było niebawem, dwa razy gnieździły się w ciągu lata i wkrótce pojawiały się już z młodemi w małych stadkach. Łagodna zima nie zniewalała ich nawet do dalszego odlotu.

Jak małpa poluje na raki, opowiada pewien podróżnik angielski, który dłuższy czas w Singapore przebywał. Wedle jego relacyi kładzie się małpa na brzuchu nad brzegiem potoku i udaje nieżywą. Z dziur wyłażą wówczas raki, obserwują rzekomy kadawer, a przekonawszy się że jest bez ruchu, zbliżają się, aby się doń zabrać. Wówczas małpa, wybrawszy sobie najtłuściejszego z pomiędzy tych skorupiaków, zrywa się nagle i chwyta go. Rzadko tylko nie uda jej się ten wybieg, jeśli wszakże chybi, i raki zdołają się do dziur pochować — naówczas skacze całemi minutami przed dziurą, nie posiadając się ze złości.

„Brehm's Thierleben", znakomite dzieło przyrodnicze, znane niejednemu myśliwemu i wysoko przez miłośników natury cenione, pojawić się ma tej jesieni w nowem wydaniu i z uzupełnieniami p. Pechuel-Loesche, podróżnika i profesora nauk przyrodniczych na uniwersytecie Jenajskim.

Za Redakcyę i Wydawnictwo odpowiedzialny: **Władysław Zontak**, ul. Teatralna Nr. 18. Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.